



zareczona

część 6
wampirzych
dzienników

morgan rice

Wampirzych Dzienników

Morgan Rice

Zareczona

«Lukeman Literary Management Ltd»

Rice M.

Zaręczona / M. Rice — «Lukeman Literary Management Ltd»,
— (Wampirzych Dzienników)

W Zaręczonej (szóstej części Wampirzych Dzienników) Caitlin i Caleb uświadamiają sobie, że znów cofnęli się w czasie – tym razem wyładowali w roku tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, w Londynie. Londyn w roku tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym jest miejscem burzliwych wydarzeń, pełnym paradoksów: z jednej strony jest to okres oświecenia, finezji, rodzący dramaturgów pokroju Szekspira, zaś z drugiej jest sceną aktów barbarzyństwa i okrucieństwa, codziennych publicznych egzekucji, tortur i nadziewania głów więźniów na włócznie. Jest to również czas przesądów i wielkiego zagrożenia dla całego społeczeństwa. Brak warunków sanitarnych powoduje, że na ulicach szerzy się, przenoszona przez szczury, dżuma. W takich warunkach Caitlin i Caleb kontynuują poszukiwania ojca, trzeciego klucza i mitycznej tarczy, która może ocalić ludzki rodzaj. Ich misja prowadzi przez gąszcz najbardziej wyjątkowej średniowiecznej architektury Londynu oraz najbardziej oszałamiających zamków brytyjskiej wsi. Ich droga wiedzie z powrotem do serca Londynu, gdzie być może spotkają Szekspira i zobaczą jedną z jego sztuk na żywo. Spotykają Scarlet, małą dziewczynkę, która być może zostanie ich córką. A przez ten cały czas, kiedy wreszcie są ze sobą, miłość Caitlin do Caleba pogłębia się – i Caleb może w końcu znaleźć odpowiednią chwilę i miejsce, by oświadczyć się Caitlin. Sam i Polly również cofają się w czasie. Skazani na podróż we własnym towarzystwie, żywią do siebie coraz głębsze uczucia i wbrew ich woli, ich wspólny związek rozkwita. Ale nie wszystko dobrze się układa. Kyle również powraca, jak i jego zły pomocnik, Sergiei, i obaj są zdecydowani zniszczyć wszystko, co dobre w życiu Caitlin. Wydarzenia zaczynają przypominać wyścig do mety. Caitlin jest zmuszona podjąć jedną z najtrudniejszych decyzji w życiu, by uratować drogie sobie osoby, ocalić swój związek z Calebem - i przez ten cały czas utrzymać się przy życiu.

© Rice M.

© Lukeman Literary Management Ltd

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	11
ROZDZIAŁ DRUGI	14
ROZDZIAŁ TRZECI	17
ROZDZIAŁ CZWARTY	19
ROZDZIAŁ PIĄTY	24
ROZDZIAŁ SZÓSTY	36
Конец ознакомительного фрагмента.	39

Morgan Rice

Zaręczona (część 6 Wampirzych Dzienników)

przekład: Michał Głuszak

O autorce

Morgan Rice jest autorką bestsellerowej serii 11-stu książek o wampirach WAMPIRZE DZIENNIKI (kolejne w przygotowaniu), skierowanej do młodego czytelnika; bestsellerowej serii thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonej z dwóch książek (kolejne w przygotowaniu) i bestsellerowej serii fantasy KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA, obejmującej trzynaście książek (kolejne w przygotowaniu).

Powieści Morgan są dostępne w wersjach audio i drukowanej, a przekłady książek są dostępne w języku niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, japońskim, chińskim, szwedzkim, holenderskim, tureckim, węgierskim, czeskim i słowackim (w przygotowaniu tłumaczenia w innych językach).

Morgan chętnie czyta wszelkie wiadomości od was. Zachęcamy zatem do kontaktu z nią za pośrednictwem strony www.morganricebooks.com, gdzie będziecie mogli dopisać swój adres do listy emaili, otrzymać bezpłatną wersję książki i darmowe materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, otrzymać najnowsze, niedostępne gdzie indziej wiadomości, połączyć się poprzez Facebook i Twitter i po prostu pozostać w kontakcie!

Wybrane komentarze Wampirzych Dzienników

Rice udaje się wciągnąć czytelnika w akcję już od pierwszych stron, wykorzystując genialną narrację wykraczającą daleko poza zwykłe opisy sytuacji... PRZEMIENIONA to dobrze napisana książka, którą bardzo szybko się czyta,

– *Black Lagoon Reviews* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Idealna opowieść dla młodych czytelników. Morgan Rice zrobiła świetną robotę budując niezwykle ciąg zdarzeń... Orzeźwiająca i niepowtarzalna. Skupia się wokół jednej dziewczyny... jednej niezwyklej dziewczyny! Wydarzenia zmieniają się w wyjątkowo szybkim tempie. Łatwo się czyta. Zalecany nadzór rodzicielski.

– *The Romance Reviews* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Zawładnęła moją uwagę od samego początku i do końca to się nie zmieniło... To historia o zadziwiającej przygodzie, wartkiej i pełnej akcji od samego początku. Nie ma tu miejsca na nudę.

– *Paranormal Romance Guild* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Kipi akcją, romansem, przygodą i suspensem. Sięgnij po nią i zakochaj się na nowo.

– *vampirebooksite.com* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Wspaniała fabuła. To ten rodzaj książki, którą ciężko odłożyć w nocy. Zakończona tak nieoczekiwanym i spektakularnym akcentem, iż będziesz natychmiast chciał kupić drugą część, tylko po to, aby zobaczyć, co będzie dalej.

– *The Dallas Examiner* (komentarz dotyczący *Kochany*)

Rywal ZMIERZCHU oraz PAMIĘTNIKÓW WAMPIRÓW. Nie będziesz mógł oprzeć się chęci czytania do ostatniej strony. Jeśli jesteś miłośnikiem przygody, romansu i wampirów to ta książka jest właśnie dla ciebie!

– *Vampirebooksite.com* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Morgan Rice udowadnia kolejny już raz, że jest szalenie utalentowaną autorką opowiadań... Jej książki podobają się szerokiemu gronu odbiorców łącznie z młodszymi fanami gatunku fantasy i opowieści o wampirach. Kończy się niespodziewanym akcentem, który pozostawia czytelnika w szoku.

– *The Romance Reviews* (komentarz dotyczący *Kochany*)

Książki autorstwa Morgan Rice

KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)

POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ #2)

KRAJ CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)

ZE W HONORU (CZEŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)

OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)

NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)

MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)

ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)

KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)

RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)

PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)

SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)

POTYCZKI RYCERZY (CZEŚĆ 16)

ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVESRUNNERS (Book #1)

ARENA TWO (Book #2)

WAMPIRZE DZIENNIKI

PRZEMIENIONA (Część Pierwsza)

KOCHANY (Część Druga)

ZDRADZONA (Część Trzecia)

PRZEZNACZONA (Część 4)

POŻĄDANA (Część 5)

ZARĘCZONA (Część 6)

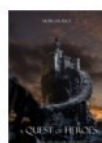
ZASŁUBIONA (Część 7)

ODNALEZIONA (Część 8)
WSKRZESZONA (Część 9)
UPRAGNIONA (Część 10)
NAZNACZONA (Część 11)

KINGS AND SORCERERS



THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals





Posłuchaj cyklu Wampirze Dzienniki w formacie audio!

Copyright © 2012 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejsza publikacja elektroniczna została dopuszczona do wykorzystania wyłącznie na użytek własny. Nie podlega odsprzedaży ani nie może stanowić przedmiotu darowizny, w którym to przypadku należy zakupić osobny egzemplarz dla każdej kolejnej osoby. Jeśli publikacja została zakupiona na użytek osoby trzeciej, należy zwrócić ją i zakupić własną kopię. Dziękujemy za okazanie szacunku dla ciężkiej pracy autorki publikacji.

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Na okładce: Jennifer Onvie. Fotograf: Adam Luke Studios, Nowy Jork. Makijaż: Ruthie Weems. Kontakt: Morgan Rice.

FAKT:

Szczucie psami niedźwiedzia było powszechną formą rozrywki w szekspirowskim Londynie. Zwierzę przywiązywano do pala, a następnie spuszczano z uwięzi dzikie psy. Robiono zakłady, kto

wygra. Miejsce przeznaczone na tego typu rozrywkę znajdowało się w pobliżu szekspirowskiego teatru. Rzesze nieokrzesanych kibiców odwiedzały następnie teatr, by obejrzeć sztukę.

W czasach Szekspira ludzie, którzy odwiedzali jego teatr nie należeli ani do elit, ani też nie grzeszyli wytwornością. Wręcz przeciwnie. Byli to w większości prostacy, prymitywna część plebsu, która gromadziła się tam dla rozrywki, płacąc jedynie pensa za wstęp. Za tę cenę musieli oglądać całą sztukę na stojąco, – dzięki czemu przywarło do nich określenie *groundlings*.

Szekspirowski Londyn był miastem cywilizowanym – ale również na wskroś barbarzyńskim. Powszechnym zjawiskiem były publiczne egzekucje i uliczne tortury zadawane różnym przestępcom. Wejście do najsłynniejszego traktu w Londynie – Mostu Londyńskiego – często zdobiły ścięte głowy złoczyńców zatknięte na pikach.

Dżuma (znana również pod nazwą Czarnej Śmierci) uśmierciła miliony osób w całej Europie, wielokrotnie zadając cios Londynowi na przestrzeni wieków. Szerzyła się w miejscach nieznaną higieny, zamieszkiwanych przez tłumy ludzi, dlatego też najsilniej dała się we znaki dzielnicy, w której znajdował się szekspirowski teatr. Musiały minąć wieki, zanim odkryto, że zarazę przenosiły pchły żyjące na szczurach.

– *Przyjdź, ciemna nocy! Przyjdź, mój dniu w ciemności!*
To twój blask, o mój luby, jaśnieć będzie
Na skrzydłach nocy, jak pióro łabędzie
Na grzbiecie kruka. Wstąp, o, wstąp w te progi!
Daj mi Romea, a po jego zgonie
Rozsyp go w gwiazdki! A niebo zapłonie
Tak, że się cały świat w tobie zakocha,
I czci odmówi słońcu.

--*William Shakespeare, Romeo i Julia*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Londyn, Anglia

(wrzesień, 1599)

Caleb obudził się na dźwięk dzwonów.

Usiadł wyprostowany i rozejrzał się wokół, ciężko dysząc. Śnił o Kyle'u, o pościgu za nim, o Caitlin wyciągającej błagalnie dłoń. Byli na polu pełnym nietoperzy, nad którym wznosiło się krwistoczerwone słońce, a wszystko zdawało się takie rzeczywiste.

Rozglądając się, próbował ustalić, czy to wszystko było naprawdę, czy też rzeczywiście obudził się już, w przeszłości. Po kilku sekundach wsłuchiwania się w swój oddech, bicie serca, panującą ciszę, kiedy poczuł chłodne, wilgotne powietrze, uświadomił sobie, że to wszystko było snem. Że naprawdę się obudził.

Zorientował się, że siedzi wyprostowany w otwartym sarkofagu. Rozejrzał się po ciemnym, ogromnym pomieszczeniu i zauważył kilka innych sarkofagów. Strop był niski, sklepiony, poprzecinany szczelinami pełniącymi rolę okien, przez które sączyło się odrobinę słonecznego światła. Wystarczyło jednak, by móc przyjrzeć się otoczeniu. Zmrużył oczy przed oślepiającym blaskiem, sięgnął do kieszeni po krople i, zadowolony, że wciąż tam są, wkropił je do oczu. Powoli ból ustąpił i mógł się rozluźnić.

Jednym ruchem podskoczył i stanął na nogach, obrócił się na pięcie, rozważając swoją sytuację. Nadal miał się na baczności, nie chcąc ulec jakiemuś atakowi, ani wpaść w zasadzkę zanim całkowicie nie rozeznał się w swojej sytuacji. W pomieszczeniu nie było jednak nic, ani nikogo. Tylko cisza. Zwrócił uwagę na antyczne, kamienne podłogi, mury, niewielki ołtarz z krzyżem i zgadywał, że znajdował się w kościelnej krypcie.

Caitlin.

Obrócił się dokoła ponownie, szukając jakichkolwiek jej oznak. Podeszedł pośpiesznie do najbliższego sarkofagu. Odczuwał ponagląący go niepokój. Używając wszystkich sił, zerwał z niego pokrywę.

Serce zabiło mu mocniej – miał nadzieję, że ją tam znajdzie. W następnej chwili poczuł zawód. Sarkofag był pusty.

Zaczął pośpiesznie sprawdzać każdy sarkofag, spychając z nich pokrywy, ale wszystkie okazały się puste.

Czuł narastającą w nim rozpacz. Odepchnął ostatnią pokrywę z taką siłą, że spadła na dół i roztrzaskała się na tysiące drobnych kawałków. Miał złe przeczucie, że i ten sarkofag będzie pusty – i miał rację. Caitlin nie było nigdzie w krypcie. Kiedy w końcu to sobie uświadomił, oblał go zimny pot. Gdzie w takim razie była?

Myśl o tym, że cofnął się w czasie bez Caitlin, przyprawiła go o dreszcze. Zależało mu na niej bardziej, niż potrafił to wyrazić i bez niej u swego boku, jego życie, jego misja stawały się bezcelowe.

Nagle coś sobie przypomniał. Sięgnął do kieszeni, by sprawdzić, czy nadal miał to przy sobie. Na szczęście miał. Ślubną obrączkę jego matki. Podniósł ją do światła i z zachwytem przyjrzał się sześciokarutowemu szafirowi, idealnie przyciętemu, przytwierdzonemu do obrączki zdobionej diamentami i rubinami. Nie znalazł jeszcze odpowiedniej chwili, by oświadczyć się Caitlin. Tym razem jednak był zdecydowany to zrobić.

Jeśli, oczywiście, w ogóle trafiła tu razem z nim.

Usłyszał jakiś dźwięk i odwrócił się w stronę wejścia, wyczuwając jakieś poruszenie. Miał wielką nadzieję, że to Caitlin.

Zorientował się jednak, że ktoś wyłonił się zza rogu. Spuścił wzrok, widząc, że to nie człowiek. Była to Ruth. Ucieszył się bardzo na jej widok, uradowany, że przetrwała podróż w czasie.

Podeszła do Caleba, merdając ogonem, spoglądając na niego błyszczącymi ślepiami na znak, że go rozpoznała. Kiedy zbliżyła się, Caleb uklęknął i wziął ją na ręce. Uwielbiał ją i był zdumiony, jak bardzo urosła: wyglądała na dwa razy większą i robiła naprawdę duże wrażenie. Jej obecność dodała mu otuchy: może oznaczało to, że Caitlin również tu była.

Nagle Ruth odwróciła się i pobiegła, znikając za rogiem. Caleb był zdumiony jej zachowaniem. Poszedł za nią, chcąc zobaczyć, gdzie pobiegła.

Zorientował się, że wszedł do kolejnej sklepionej krypty, równie jak poprzednia zastawionej sarkofagami. Wystarczył mu rzut okiem, by zauważyć, że wszystkie były już otwarte, i puste.

Ruth pomknęła przed siebie, skomląc i wkrótce opuściła pomieszczenie. Calebowi przyszło na myśl, że może gdzieś go prowadziła, więc popędził za nią.

Pokonawszy kilka kolejnych pomieszczeń, Ruth zatrzymała się wreszcie przy niewielkiej, słabo oświetlonej pojedynczą świecą niszy na końcu korytarza. Wewnątrz znajdował się samotny, marmurowy, misternie wyrzeźbiony sarkofag.

Caleb podszedł do niego powoli, wstrzymał oddech żywiąc nadzieję, próbując wyczuć znajdującą się wewnątrz Caitlin.

Ruth usiadła tuż obok i spojrzała na Caleba. Zaskowyczała rozpaczliwie.

Caleb uklęknął i spróbował zepchnąć kamienną pokrywę. Ta jednak była o wiele cięższa od pozostałych i ledwie drgnęła.

Kłęcząc, popchnął mocniej, naparł ze wszystkich sił, aż w końcu płyta zaczęła ustępować. Pchał nieustannie i wkrótce pokrywa całkowicie zesła.

Na widok leżącej w środku Caitlin, nieruchomej, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, Caleb poczuł przyływ ulgi. Wkrótce jednak zawładnął nim niepokój. Przyjrzał się jej uważnie. Była bledsza niż kiedykolwiek. Jej policzki pozbawione były jakiegokolwiek koloru, a jej oczy nie zareagowały na światło pochodni. Przyjrzał się jeszcze dokładniej i zauważył, że nie oddychała.

Przerażony tym, odchylił się gwałtownie. Caitlin zdawała się martwa.

Ruth zaskowyczała jeszcze głośniejsze: teraz już wiedział, dlaczego.

Nachylił się i położył obie dłonie na jej ramionach. Delikatnie nią potrząsnął.

– Caitlin? – powiedział, słysząc zmartwienie w swym głosie. – CAITLIN! – zawołał głośniejsze i potrząsnął z większą siłą.

Lecz nie odpowiedziała. Kiedy wyobraził sobie, jak wyglądałoby życie bez niej, jego ciało ogarnął paraliż. Wiedział, że z podróżami w czasie wiązało się pewne niebezpieczeństwo, oraz że nie wszystkim wampirom udawało się je przetrwać. Jednakże, nigdy nie brał pod uwagę, że taka podróż rzeczywiście mogła skończyć się śmiercią. Czy popełnił błąd, zachęcając ją do kontynuowania poszukiwań, wypełnienia zadania? Czy nie powinien raczej odpuścić, zdomowić się z nią gdzieś w poprzednim miejscu i stuleciu?

A jeśli wszystko stracił?

Ruth wskoczyła do środka sarkofagu i stanęła na ciele Caitlin. Zaczęła lizać jej twarz. Mijały minuty, a ona wciąż lizała, cicho skowycząc.

Kiedy Caleb nachylił się, by ją zdjąć z Caitlin, zatrzymał się w pół ruchu. Zaszokowany zauważył, że Caitlin zaczęła otwierać jedno oko.

Uszczęśliwiona Ruth zawyła, zeskoczyła z Caitlin i zaczęła biegać dokoła. Caleb nachylił się. Był również zachwycony. Caitlin otworzyła w końcu oczy i zaczęła rozglądać się wokół siebie.

Caleb chwycił pospiesznie jej lodowato zimną dłoń i ogrzał w swoich.

– Caitlin? Słyszysz mnie? To ja, Caleb.

Zaczęła powoli się podnosić. Pomógł jej, nachylając się i podpierając delikatnie jej kark dłonią. Był szczęśliwy, widząc, jak rusza powiekami, mrużąc oczy. Wiedział, że była zdezorientowana, jakby przebudziła się z bardzo głębokiego snu.

– Caitlin? – spytał ponownie cichym głosem.

Spojrzała na niego z obojętnością. Jej brązowe oczy były piękne, dokładnie takie, jak je zapamiętał. Ale coś było nie w porządku. Zauważył to natychmiast. Nie uśmiechała się, a spod jej mrugających powiek wyzierało spojrzenie kogoś obcego.

– Caitlin? – spytał znowu. Tym razem był już zmartwiony.

Spojrzała wprost na niego, szeroko otwartymi oczyma. On zaś pojął z szokiem, że go nie poznaje.

– Kim jesteś? – zapytała.

Spochmurniał. Czy to możliwe? Czy podróż zatarła jej pamięć? Czy naprawdę o nim zapomniała?

– Caitlin – powiedział zachęcająco – to ja, Caleb.

Uśmiechnął się, mając nadzieję, że dzięki temu Caitlin łatwiej go sobie przypomni.

Ale nie odwzajemniła uśmiechu. Tylko wpatrzyła się w niego pustym wzrokiem, mrugając kilkakrotnie powiekami.

– Przykro mi – powiedziała w końcu. – Ale nie mam pojęcia, kim jesteś.

ROZDZIAŁ DRUGI

Sama obudził ptasi wrzask. Otworzył oczy i zobaczył wysoko nad swoją głową kilkanaście dużych, czarnych ptaków kołujących w powietrzu. Musiało ich być z tuzin. Krążyły coraz niżej i niżej, na pozór wprost nad nim, jakby go obserwowały. Jakby czekały.

Zdał sobie nagle sprawę, że sądziły, iż był martwy i tylko czekały na okazję, by runąć na niego i go zadziobać.

Skoczył na równe nogi, a ptaki odleciały nagle, jakby przerażone, że zmarły zdołał wrócić do życia.

Rozejrzał się, próbując zorientować w swoim położeniu. Był na polu, pośród rozległych wzgórz. Jak daleko okiem sięgnął, widział same wzgórza pokryte trawą i osobliwymi krzewami. Panowała idealna temperatura, a na niebie nie było ani jednej chmury. Krajobraz był malowniczy, pozbawiony jakichkolwiek zabudowań. Wyglądało na to, że trafił w środek kompletnego odludzia.

Starał się zorientować, gdzie był, który to rok i jak trafił w to miejsce. Rozpaczliwie starał się cokolwiek sobie przypomnieć. Co się stało, zanim cofnął się w czasie?

Powoli wszystko do niego wróciło. Był w Notre Dame, w Paryżu, w roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym. Odpierał atak Kyle'a, Kendry, Sergeia i ich ludzi, starając się ich powstrzymać, by Caitlin i Caleb zdołali uciec. Tyle przynajmniej mógł zrobić i tyle był winny Caitlin po tym, jak naraził ją na niebezpieczeństwo swoim lekkomyślnym romansem z Kendrą.

Mając przeciw sobie przeważającego go liczebnie przeciwnika, Sam użył swej umiejętności zmiany kształtu i zdołał wprowadzić wystarczający zamęt, by wyrządzić znaczne szkody, unicestwiając wielu żołnierzy Kyle'a i unieszkodliwiając innych oraz uciec razem z Polly.

Polly.

Była z nim przez cały ten czas, dzielnie walczyła i razem z nim, jak to właśnie sobie przypominał, stanowiła niezgorszą siłę bojową. Umknęli przez strop Notre Dame i zaczęli szukać Caitlin i Caleba. Tak, wszystko powoli sobie przypominał...

Dowiedział się, że jego siostra cofnęła się w czasie. Natychmiast zrozumiał, że również musiał odbyć tę podróż, aby naprawić wyrządzone zło, ponownie odnaleźć Caitlin, przeprosić ją i ochronić przed niebezpieczeństwem. Wiedział, że nie było już jej to potrzebne: była lepszym wojownikiem od niego, no i miała Caleba. Ale była przecież jego siostrą. Chęć otoczenia jej opieką była czymś, czego nie potrafił zignorować.

Polly nalegała, by cofnąć się w czasie razem z nim. Również była zdecydowana, by spotkać się z Caitlin i wytłumaczyć ze wszystkiego. Sam nie protestował, tak więc cofnęli się w czasie razem.

Powtórnie rozejrzał się wokół, wypatrując czegokolwiek na wzgórzach i zastanawiając się.

– Polly? – zawołał niepewnie.

Nic, żadnej odpowiedzi.

Podszedł ku krawędzi wzgórza, mając nadzieję ujrzeć krajobraz w całej okazałości.

– Polly? – zawołał ponownie, tym razem głośniej.

– Wreszcie! – odezwał się czyjś głos.

Sam obejrzał się. Polly pojawiła się, wchodząc po zboczu, na tle linii horyzontu, okrążając wzniesienie. W dłoni niosła truskawki. Właśnie jedną jadła, kiedy odezwała się do niego z pełnymi ustami. – Czekam na ciebie cały ranek! Rety! Naprawdę uwielbiasz spać, prawda!?

Jej widok uszczęśliwił Sama. Widząc ją, uświadomił sobie, jak samotny poczuł się, cofnąwszy się w czasie, i jak szczęśliwy był, mając jakieś towarzystwo. Zdał też sobie sprawę, że coraz bardziej mu się podobała, wbrew niemu samemu. Zwłaszcza po fiasku, jakie spotkało jego związek z Kendrą. Doceniał towarzystwo normalnej dziewczyny, cenił sobie Polly bardziej, niż była tego świadoma. A kiedy zbliżyła się do niego, kiedy słońce rozpromieniło jej jasne, brązowe włosy i niebieskie oczy, jej półprzezroczystą, białą skórę, ponownie zdumiała go jej naturalna uroda.

Miał zamiar odpowiedzieć, ale jak zwykle nie dała mu wtrącić choćby jednego słowa.

– Obudziłam się niecałe dziesięć stóp od ciebie – ciągnęła, podchodząc bliżej i zjadając kolejną truskawkę – i trzęśłam tobą i trzęśłam, ale nie dałeś się obudzić! Więc poszłam sobie i pozbierałam trochę. Z ochotą opuszczę to miejsce, ale pomyślałam, że nie zostawię cię tym ptakom. Musimy odszukać Caitlin. Kto wie, gdzie ona teraz jest? Może właśnie potrzebować naszej pomocy. A ty nic, tylko śpisz! A przecież, jeśli nie cofnęliśmy się w czasie, by ruszyć dalej, to po co, jeśli—

– Proszę! – zawołał Sam i wybuchnął śmiechem. – Nie dajesz mi nic powiedzieć!

Polly stanęła i spojrzała na niego z wyrazem zdziwienia, jakby nie zdawała sobie sprawy, że tyle mówiła.

– No więc – powiedziała – mów!

Sam ponownie spojrzał na nią. Widok jej niebieskich oczu w porannym świetle rozproszył go tak, że kiedy w końcu nadeszła okazja, by przemówić, struchlał i zapomniał, co chciał powiedzieć.

–Uhm... – zaczął.

Polly wyrzuciła ręce w górę.

– Ci chłopacy! – wykrzyknęła. – Nigdy nie chcą, by do nich mówić – a sami nie mają nic do powiedzenia! Cóż, nie mogę tu już więcej czekać! – powiedziała i ruszyła w drogę przez wzgórza, zjadając kolejną truskawkę.

– Zaczekaj! – zawołał Sam i pospieszył za nią. – Gdzie idziesz?

– No, odszukać Caitlin oczywiście!

– Wiesz, gdzie jest? – zapytał.

– Nie – odparła. – Lecz wiem, gdzie jej *nie ma* – czyli tu, na tym polu! Musimy stąd iść. Znaleźć najbliższe miasto lub jakieś zabudowania, czy cokolwiek, i zorientować się, w którym roku wylądowaliśmy. Musimy od czegoś zacząć! A tutaj niczego się nie dowiemy!

– Cóż, nie sądzisz, że mnie również zależy na znalezieniu siostry? – zawołał zdesperowany.

W końcu przystanęła i odwróciła się do niego twarzą.

– Znaczy, nie zależy ci na towarzystwie? – spytał, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, jak bardzo chciał szukać Caitlin razem z nią. – Nie chcesz szukać razem ze mną?

Polly spojrzała na niego swymi wielkimi, niebieskimi oczyma, jakby go oceniając. Poczuł się, jakby go osądzano. Widział, że nie była do końca pewna. Nie mógł zrozumieć, dlaczego.

– Nie wiem – powiedziała w końcu. – Znaczy, poradziłeś sobie całkiem nieźle tam w Paryżu – muszę to przyznać. Ale...

Zawahała się.

– O co chodzi? – spytał w końcu.

Polly odchrząknęła.

– Cóż, jeśli musisz wiedzieć, ostatni – uhm – chłopak – z którym spędziłam trochę czasu – Sergei – okazał się kłamcą i oszustem, który okpił mnie i okłamał. Byłam zbyt głupia, by to zauważyć. Nie mam jednak zamiaru ponownie pakować się w coś podobnego. I nie jestem gotowa zaufać jakimukolwiek przedstawicielowi płci męskiej – nawet tobie. Nie mam po prostu ochoty na towarzystwo jakichkolwiek chłopców. Nie mówię, że niby ty i ja – że niby jesteśmy – że niby myślę o tobie w ten sposób – jak o kimś bliższym, niż przyjaciel – niż znajomy—

Zaczęła się płatać. Sam zauważył, że zdenerwowała się bardzo i nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Chodzi o to, że mimo wszystko mam dość chłopców. Bez urazy.

Sam uśmiechnął się szeroko. Uwielbiał jej szczerłość, jej ikrę.

– Bez urazy – odparł. – Prawdę powiedziawszy – dodał – mam dość dziewcząt.

Polly rozwarła oczy szeroko ze zdziwienia; najwyraźniej nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Ale wydaje mi się, że będziemy mieli większe szanse na znalezienie siostry, jeśli będziemy szukać razem. Znaczy, po prostu – odchrząknął – wiem o tym z doświadczenia.

Tym razem to Polly uśmiechnęła się.

– Z doświadczenia – powtórzyła.

Sam podniósł dłoń w oficjalnym geście.

– Przysięgam, będziemy tylko przyjaciółmi. Nikim więcej – powiedział. – Zrezygnowałem z dziewczyn na zawsze. Bez względu na wszystko.

– Ja wyrzekłam się facetów. Bez względu na wszystko – powiedziała, nadal przyglądając się jego dłoni, którą wymachiwał niepewnie w powietrzu.

Wyciągnął dłoń i czekał cierpliwie.

– Tylko przyjaźń? – spytała. – Nic poza tym?

– Tylko przyjaźń – powiedział Sam.

W końcu wyciągnęła swoją dłoń i uściśliła go na zgodę.

A kiedy to zrobiła, Sam nie mógł nie zauważyć, że przytrzymała jego dłoń odrobinę za długo.

ROZDZIAŁ TRZECI

Caitlin usiadła w sarkofagu i spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę. Wiedziała, że skądś go знаła, ale nie potrafiła go umiejscowić. Spoglądała w jego wielkie, brązowe, zatroskane oczy, jego idealną twarz, kości policzkowe, jego gładką skórę, grube, pofalowane włosy. Był zachwycający. Wyczuwała, że bardzo mu na niej zależało. W głębi serca czuła, że był dla niej kimś ważnym, ale za nic w świecie nie potrafiła przypomnieć sobie, kim był.

Poczuła coś mokrego na dłoni, a kiedy spojrzała w dół, zobaczyła siedzącego obok i liżącego ją wilka. Zdziwiła się, z jaką troską ją traktował, jakby znał ją od zawsze. Miał piękne białe futro z jedną, szarą smugą biegnącą w dół, w samym środku łba i dalej przez cały grzbiet. Caitlin czuła, że znała i to zwierzę, że kiedyś, w jakimś okresie życia było jej bliskie.

Ale chociaż usilnie się starała, nie mogła przypomnieć sobie dlaczego.

Rozejrzała się, próbując zorientować się w otoczeniu, mając nadzieję, że dzięki temu odświeży sobie pamięć. Powoli zaczęła rozróżniać szczegóły. Panował mrok, który rozjaśniała co chwilę płonąca pochodnia, a w oddali zauważyła przyległe pomieszczenia wypełnione sarkofagami. Strop był niski i sklepiony, a kamienny budulec wyglądał na bardzo stary. Pomieszczenie wyglądało jak krypta. Zastanowiło ją, jak się tutaj znalazła – i kim byli ci wszyscy ludzie. Miała wrażenie, że przebudziła się ze snu, który nie miał końca.

Zamknęła na chwilę oczy, odetchnęła głęboko i w tej chwili przemknęło jej przez głowę kilka przypadkowych wspomnień. Zobaczyła siebie stojącą w rzymskim Koloseum, walczącą z wieloma żołnierzami na gorącej, piaszczystej arenie; zobaczyła siebie szybującą nad wyspą położoną wśród wód rzeki Hudson, spoglądającą na rozległy zamek; zobaczyła siebie w Wenecji, siedzącą w gondoli, z chłopcem, którego nie rozpoznawała, ale który również był piękny; zobaczyła siebie w Paryżu idącą wzdłuż rzeki razem z mężczyzną, którego rozpoznała, był bowiem tym samym, który stał teraz przed nią. Próbowała skupić się na tym obrazie, zatrzymać się na nim. Być może dzięki niemu coś sobie przypomni.

Zobaczyła ich oboje ponownie, tym razem w jego zamku, na francuskiej wsi. Zobaczyła, jak jechali razem konno po plaży, potem zauważyła sokoła kołującego wysoko nad nimi, który upuścił list.

Spróbowała skupić się na jego twarzy, przypomnieć sobie jego imię. Wydawało się jej, że powoli wszystko wraca, że jest już blisko. Lecz jej umysł podsuwał co chwilę nowe obrazy i trudno było jej cokolwiek się ucześcić. Widziała żywoty, jeden za drugim, w niekończącym się pokazie ilustracji. Jakby jej pamięć resetowała się właśnie.

– Caleb – odezwał się czyjś głos.

Caitlin otworzyła oczy, Nachylał się nad nią nisko, podając jej dłoń, trzymając ją za ramię.

– Mam na imię Caleb. Z Białego Klanu. Nie pamiętasz?

Jej oczy znów się zamknęły, a jego słowa, jego głos obudziły jej wspomnienia. Caleb. Imię to rozbrzmiewało w jej umyśle niczym dzwon. Czuła, że było dla niej ważne.

Biały Klan. To również brzmiało znajomo. Nagle zobaczyła siebie w mieście, które natychmiast poznała. Była w Nowym Jorku, w klasztorze na północnym krańcu wyspy. Widziała siebie stojącą na wielkim tarasie, spoglądającą w dal. Zobaczyła siebie pochłoniętą kłótnią z kobietą o imieniu Sera.

– Caitlin – ponownie odezwał się ten głos, jednak bardziej stanowczo. – Nie pamiętasz?

Caitlin. O tak. Tak miała na imię. Była już teraz pewna.

I Caleb. Tak. Był dla niej ważny. Był jej... chłopakiem? Czuła, że kimś znacznie ważniejszym. Narzeczonym? Mężem?

Otworzyła oczy i spojrzała na niego, i wszystko wróciło niczym fala. Poczuła przypływ nadziei, kiedy powoli, kawałek po kawałeczku, zaczynała sobie wszystko przypominać.

– Caleb – powiedziała cicho.

Jego oczy wypełniły się nagle łzami nadziei. Wilk zawył i polizał ją po policzku, jakby na zachętę. Obejrzała się na niego i nagle przypomniała sobie jego imię.

– Róża – powiedziała, po czym zorientowała się, że popełniła błąd. – Nie. Ruth. Masz na imię Ruth.

Ruth nachyliła się bliżej, wciąż liżąc ją po twarzy. Caitlin nie mogła powstrzymać się od uśmiechu i pogłaskała ją po głowie. Caleb uśmiechnął się z poczuciem ulgi.

– Tak. Ruth. A ja jestem Caleb. A ty Caitlin. Pamiętasz już?

Skinęła głową. – Wraca do mnie – powiedziała. – Jesteś moim... mężem?

Zauważyła, jak jego twarz nagle poczerwieniała, jakby poczuł się zażenowany, czy też było mu wstyd. I w tej chwili nagle przypomniała sobie. Nie. Nie byli małżeństwem.

– Nie jesteśmy małżeństwem – powiedział skruszony – ale jesteśmy razem.

Poczuła zakłopotanie, kiedy pamięć wróciła, kiedy wszystko zaczęło napływać falami.

Nagle przypomniała sobie klucze. Klucze ojca. Sięgnęła do kieszeni i uspokoiła się. Nadal tam były. Sięgnęła do drugiej i wyczuła swój dziennik. Poczuła ulgę.

Caleb wyciągnął dłoń.

Chwyciła ją i pozwoliła, by podniósł ją z sarkofagu.

Jak miło było znów stanąć na własnych nogach, rozciągnąć bolące mięśnie.

Caleb podniósł dłoń i odsunął jej włosy z twarzy. Jego miękkie palce były takie miłe w dotyku, kiedy musnęły jej skroni.

– Tak się cieszę, że żyjesz – powiedział.

Objął ją ramionami i mocno przytulił. Odwzajemniła mu się tym samym i natychmiast powróciło do niej więcej wspomnień. Tak, to był mężczyzna, którego kochała. Mężczyzna, którego miała nadzieję pewnego dnia poślubić. Wyczuwała miłość, jaką ją darzył i przypomniała sobie, że oboje cofnęli się w czasie. Ostatnim razem byli we Francji, w Paryżu, odnalazła drugi klucz i odesłano ich razem w przeszłość. Modliła się o to, by tym razem cofnęli się razem. I kiedy ucisnęła go mocniej, zdała sobie sprawę, że jej modlitwy się spełniły.

Nareszcie byli razem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Widzę, że się już odnaleźliście – odezwał się czyjś głos.

Zaskoczeni Caitlin i Caleb, trwający nadal w objęciach, odwrócili się na dźwięk głosu. Caitlin była zaskoczona, że ktokolwiek zdołał podkraść się tak blisko, zważywszy na ich wyostrzone, wampirze zmysły.

Kiedy jednak spojrzała na stojącą przed nimi kobietę, zrozumiała powód: ona również była wampirem. Ubrana na białą, z zarzuconym na głowę kapturem, kobieta podniosła głowę i spojrzała na nią przeszywającymi, niebieskimi oczyma. Caitlin wyczuła emanujący z niej spokój i harmonię i rozluźniła się. Poczuła, że i Caleb zmniejszył czujność.

Wampirzyca uśmiechnęła się do nich szeroko.

– Od jakiegoś czasu czekaliśmy na ciebie – powiedziała delikatnym głosem.

– Gdzie jesteśmy? – spytała Caitlin. – Który to rok?

Wampirzyca tylko uśmiechnęła się do niej.

– Chodźcie tędy – powiedziała, odwróciła się i podążyła przez niskie, zwieńczone łukiem wyjście.

Caitlin wymieniła spojrzenia z Calebem, po czym oboje, z Ruth u boku, poszli za kobietą.

Przeszli kamienny, wijący się i pełen zakrętów korytarz, który doprowadził ich do wąskich, oświetlonych pochodnią schodów. Byli tuż za kobietą, która po prostu szła, jakby z góry założyła, że za nią pójdą.

Caitlin pragnęła zapytać ją o różne rzeczy, zmusić, by powiedziała, gdzie są; kiedy jednak dotarli na szczyt schodów, ich oczom ukazał się wspaniały widok, zapierający dech w piersi i Caitlin zdała sobie sprawę, że byli w ogromnym kościele. Przynajmniej jedno pytanie nie pozostało bez odpowiedzi.

Ponownie pożałowała, że nie uważała zbyt wiele na zajęciach historii i architektury, żałowała, że nie była teraz w stanie rozpoznać tego miejsca na pierwszy rzut oka. Cofnęła się myślami do wszystkich wspaniałych kościołów, które zwiedziła – Notre Dame w Paryżu, Duomo we Florencji – i pomyślała, że to miejsce trochę przypominało tamte świątynie.

Nawa ciągnęła się na dziesiątki stóp, jej podłogę pokrywały marmurowe płyty, a ściany zdobiły dziesiątki wyrzeźbionych, kamiennych posągów. Strzeliście sklepiony strop pięł się dziesiątki stóp w górę. Wysoko nad głowami widniały liczne rzędy zwieńczonych łukiem witraży, przez które wpadało słońce i rozlewało się po całym kościele mieszaniną delikatnych barw. Na odległym końcu znajdował się wielki, półkolisty witraż, przez który sączyło się światło na ogromny, pozłacany ołtarz. Przed ołtarzem stały setki małych, drewnianych krzeseł przeznaczonych dla wiernych.

Teraz jednak kościół był pusty. Wydawało się, że cały budynek mieli wyłącznie dla siebie.

Przeszli dalej, idąc w ślad za kobietą, a odgłosy ich kroków rozbrzmiewały echem w olbrzymim, pustym wnętrzu.

– Co to za kościół? – spytała w końcu Caitlin.

– Opactwo Westminsterskie – odezwała się wampirzyca, wciąż idąc przed siebie. – Od setek lat miejsce koronacji wszystkich władców.

Opactwo Westminsterskie, pomyślała Caitlin. Wiedziała, że to w Anglii. W zasadzie w Londynie.

Londyn.

Świadomość, że znalazła się akurat tutaj uderzyła w nią niczym obuchem. Kościół robił ogromne wrażenie, budził podziw. Nigdy wcześniej tu nie była, a zawsze chciała przyjechać. Miała przyjaciół, którzy odwiedzili to miejsce i widziała ilustracje w internecie. Ich pojawienie się tu miało sens, zważywszy na długą, sięgającą średniowiecza historię miasta. Już sam ten kościół miał setki lat – a wiedziała, że i miasto miało więcej takich miejsc. Lecz wciąż nie znała daty.

– A który to rok? – spytała podenerwowana.

Lecz ich przewodniczka szła tak szybko, że zdołała pokonać ogromną kaplicę i znikła w kolejnych, sklepionych drzwiach, zmuszając Caitlin i Chleba do przyspieszenia kroku, by ją dogonić.

Kiedy tam weszli, Caitlin ze zdziwieniem odkryła, że byli w klasztorze. Miała przed sobą długi, kamienny korytarz z kamiennymi murami i posągami po jednej stronie i otwartymi łukami po drugiej. Łuki te były wystawione na działanie warunków atmosferycznych, dzięki czemu Caitlin zobaczyła niewielki, niczym nieosłonięty dziedziniec. Klasztor ten przypominał jej wiele innych, w których już była; zaczynała dostrzegać pewien wzór w ich prostocie, pustkę, sklepienia, kolumny, zadbane dziedzińce. Wszystkie wyglądały jak schronienie przed światem, jak miejsce modlitwy i cichej kontemplacji.

Wampirzyca zatrzymała się w końcu i stanęła odwrócona do nich twarzą. Spojrzała na Caitlin wielkimi, pełnymi współczucia oczami, obrzucając ją nieziemskim spojrzeniem.

– Jesteśmy blisko przełomu wieku – powiedziała.

Caitlin zamyśliła się na chwilę.

– Którego? – spytała.

– Szesnastego, oczywiście. Mamy rok tysiąc pięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty.

Tysiąc pięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty, Caitlin powtórzyła w myślach. Już sama ta myśl sprawiała ogromne wrażenie. I ponownie ubolewała nad tym, że nie czytała uważniej książek z historii. Poprzednio przeniosła się z roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego pierwszego do tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego. Tym razem jednak była w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym. A to znaczyło, że skoczyła prawie dwieście lat wstecz.

Przypominała sobie, jak wiele rzeczy wydawało się jej prymitywnymi w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym – brak kanalizacji, sporadyczne drogi polne w samym środku miasta, ludzie w ogóle niezażywający kąpieli. Nie potrafiła nawet wyobrazić sobie, o ile bardziej prymitywny był świat dwieście lat wstecz. Z pewnością nie byłaby w stanie go już teraz rozpoznać. Ta myśl sprawiła, że poczuła się odosobniona, sama w odległym świecie i miejscu. Gdyby nie obecność Caleba przy jej boku, czułaby się całkowicie samotna.

Jednocześnie jednak, ta architektura, ten kościół, klasztor – wszystko to wydawało jej się łatwo rozpoznawalne, tak bardzo znajome. Jakby nie było, przemierzała dokładnie to samo opactwo westminsterskie, które istniało w dwudziestym pierwszym wieku. A do tego jeszcze dochodził fakt, że ta budowla, nawet w takim stanie, jak w tej chwili, była już bardzo wiekowa, stała tu już setki lat. Przynajmniej to dawało jej odrobinę pocieszenia.

Ale dlaczego odesłano ją do tego roku? I tego miejsca? Najwyraźniej miało to istotne znaczenie dla jej misji.

Londyn. Rok tysiąc pięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty.

Czy to nie w tych czasach żył Szekspir? zaczęła się zastanawiać. Serce zabiło jej mocniej, kiedy wyobraziła sobie, że być może będzie miała okazję zobaczyć go na własne oczy, na żywo.

Przemierzali w ciszy korytarze, jeden za drugim.

– Londyn w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku nie jest aż tak prymitywny, jak ci się zdaje – odezwała się ich przewodniczka, patrząc na nią z uśmiechem na ustach.

Caitlin poczuła się speszona, że ktoś odczytał jej myśli. Jak zwykle, wiedziała, że powinna pilniej baczyć na ukrywanie ich przed innymi. Miała nadzieję, że nie obraziła kobiety.

– Bez urazy, jakiegokolwiek – odparła, ponownie czytając w jej myślach. – Nasze czasy są prymitywne pod wieloma technicznymi względami, do których nawykłaś. Lecz jesteśmy też, pod innymi względami, bardziej wyrafinowani, nawet w porównaniu ze światem, który pamiętasz z przyszłości. Posiadamy ogromną wiedzę i zaawansowaną naukę, a światem rządzi wiedza zawarta w księgach. Być może jesteśmy ludem o prymitywnych zasobach, ale o ostrym intelekcie.

– Co ważniejsze, są to czasy o istotnym znaczeniu dla całej wampirzej rasy. Stoimy na rozdrożu. Nie bez przyczyny przybyłaś właśnie na przełomie wieku.

– Dlaczego? – zapytał Caleb.

Kobieta uśmiechnęła się do nich, zanim przeszła przez kolejne drzwi.

– Odpowiedzi na to pytanie będziecie musieli sami poszukać.

Wkroczyli do kolejnego wspaniałego pomieszczenia z pnącym się wysoko stropem, witrażami, marmurowymi podłogami, przyozdobionego ogromnymi świecami i rzeźbami królów i świętych. Sala ta jednak różniła się od pozostałych. Wszędzie widniały rozmieszczone z rozmysłem sarkofagi i podobizny, a na środku stał potężny grobowiec, wysoki na kilkadziesiąt stóp i pokryty złotem.

Ich przewodniczka podeszła bezpośrednio do niego, a oni podążyli za nią. Zatrzymała się przed nim i odwróciła twarzą do nich.

Caitlin podniosła wzrok na wspaniały grobowiec: był wielki, wręcz imponujący. Sam w sobie był wspaniałym dziełem sztuki, zdobiony złoceniami i misternymi rzeźbieniami. Poczula również emanującą z grobowca energię, jakby skrywał coś o dużym znaczeniu.

– Grobowiec św. Edwarda Wyznawcy – powiedziała wampirzyca. – To święte miejsce, cel pielgrzymek naszej rasy od wielu stuleci. Powiada się, że kto pomodli się przy nim, otrzyma łaskę uzdrawiającą dla tych, których zmogła choroba. Spójrz w dół, przy twojej stopie: kamień wytarty przez wszystkich ludzi, którzy klękali tu przez te wszystkie wieki.

Caitlin spojrzała w dół i zauważyła, że rzeczywiście marmurowe podwyższenie nosiło niewielkie ślady wyżłobione na jego krawędziach. Nie mogła wyjść z podziwu, jak wielu ludzi musiało przykłęknąć tu przez te wszystkie stulecia.

– Jednak w twoim przypadku – ciągnęła kobieta – ma nawet większe znaczenie.

Odwróciła się i spojrzała wprost na Caitlin.

– Twój klucz – powiedziała do Caitlin.

Caitlin była zdumiona. O którym kluczu wspomniała? Sięgnęła do kieszeni i ponownie wyczuła dwa klucze, które do tej pory udało jej się odszukać. Nie była pewna, o który klucz chodziło.

Potrząsnęła głową.

– Nie. Te nie.

Caitlin zamyśliła się. Była zaintrygowana. Czyżby zapomniała o jakimś dodatkowym kluczu?

Lecz gdy oczy kobiety spoczęły u podstawy jej szyi, Caitlin zrozumiała. Chodziło o jej naszyjnik.

Sięgnęła do niego dłonią. Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że nadal tam był. Zdjęła go ostrożnie i przytrzymała w dłoni delikatny, srebrny krzyż.

Wampirzyca potrząsnęła głową.

– Tylko ty możesz go użyć.

Chwyciła Caitlin delikatnie za nadgarstek i podprowadziła do najmniejszego z otworów na klucze, u podstawy piedestału.

Caitlin zdumiała się. Gdyby nie to, nigdy nie zauważyłaby tej dziurki. Włożyła klucz, przekręciła go i usłyszała delikatny szcęk.

Podniosła wzrok i zauważyła, że w ścianie grobowca otworzyła się maleńka skrytka. Spojrzała na kobietę, a ta skinęła z powagą.

Caitlin sięgnęła dłonią i wyciągnęła podłużną, wąską przegrodę. Wewnątrz, jak zauważyła zdziwiona, spoczywało długie, złote berło z głównią udekorowaną rubinami i szmaragdami. Sięgnęła do środka i wyjęła je. Zdziwiła się, jakie było ciężkie i jak gładkie w dotyku było złoto. Musiało mieć około trzech stóp długości i wykuto je z litego złota.

– Święte berło – powiedziała zakonnica. – Kiedyś, raz, należało do twojego ojca.

Caitlin przyjrzała się mu ze świeżą dawką szacunku i podziwu. Trzymając je w dłoni, czuła się poruszona, bliższa ojcu, niż kiedykolwiek dotąd.

– Czy to zaprowadzi mnie do ojca? – spytała.

Ich przewodniczka jednak odwróciła się tylko i skierowała do wyjścia z komnaty.

– Tędy – powiedziała.

Caitlin i Caleb ruszyli za nią przez kolejne drzwi i dalej przez następne korytarze, mijając po drodze średniowieczny dziedziniec kolejnego klasztoru. Caitlin zauważyła ze zdziwieniem inne wampiry, ubrane w białe szaty i noszące białe kaptury, przechadzające się po salach. Większość miała spuszczone wzrok, jakby była pogrążona w modlitwie. Niektóre wymachiwały kadzidłami. Kilka skinęło im głowami i w ciszy poszło w swoją stronę.

Caitlin zaczęła się zastanawiać, ile tu mogło żyć wampirów i czy należały do klanu jej ojca. Nigdy nie zdawała sobie sprawy z tego, że Opactwo Westminsterkie było klasztorem, oprócz tego, że było kościołem. Ani też, że było ostoją dla jej rodzaju.

W końcu dotarli do niewielkiego pomieszczenia, mniejszego niż pozostałe, ale z wysokim, sklepionym stropem i rozjaśnionym naturalnym światłem. Miało nagie, kamienne ściany, a na środku znajdował się niezwykle mebel: tron. Wzniesiony wysoko na piedestale, mający przynajmniej piętnaście stóp wysokości, stał drewniany tron, krzesło niezwykle szerokie, z podparciami na ręce odchylającymi się w górę i oparciem – elementy te zbiegały się w jeden punkt tworząc siedzisko w kształcie trójkąta. Poniżej, w narożnikach, siedziały dwa złote lwy, zaprojektowane tak, by wyglądało, że podtrzymują tron.

Caitlin przyjrzała się mu z podziwem.

– Tron króla Edwarda – powiedziała kobieta. – Koronacyjny tron królów i królowych od setek lat. Bardzo wyjątkowy – nie tylko ze względu na jego miejsce w historii, ale i dlatego, że przechowuje jeden z kluczy naszego rodzaju.

Odwróciła się i spojrzała na Caitlin.

– Strzeżemy tego tronu od setek lat. Teraz, kiedy już tu jesteś, i kiedy wydobyłaś berło, nadeszła pora, byś zajęła prawowite miejsce.

Skinęła na Caitlin, by ta wstąpiła na tron.

Caitlin spojrzała na nią z szokiem. Jakie prawo miała ona, zwyczajna dziewczyna, by siąść na tym królewskim tronie – na którym zasiadali władcy i królowe przez te wszystkie wieki? Nie czuła się ważna na tyle, by choć zbliżyć się do niego, nie wspomniawszy już o tym, by wspiąć się na ogromny piedestał i siąść na nim.

– Proszę – ponagliła ją wampirzyca. – Masz prawo. Jesteś Wybrańcem.

Caleb skinął na nią i Caitlin powoli, choć z ociąganiem, wspięła się na ogromny piedestał, wciąż trzymając w dłoni berło. Kiedy dotarła na szczyt, odwróciła się i delikatnie usadowiła na tronie.

Był zrobiony z twardego drzewa – nie ustąpiło pod jej ciężarem. Kiedy oparła się i położyła ręce na oparciach, poczuła jego moc. Czuła setki lat rządów sprawowanych przez osoby, które właśnie w tym miejscu odbierały królewską koronę. Miała wrażenie, że tron był naelektryzowany.

Kiedy rozejrzała się po wnętrzu, z wysokości piętnastu stóp powyżej pozostałych osób, poczuła, jakby nad nimi górowała, jakby górowała nad całym światem. Uczucie to budziło zarówno strach, jak i podziw.

– Berło – powiedziała wampirzyca.

Caitlin spojrzała na nią zaintrygowana, nie wiedząc, co według niej miała z nim zrobić.

– W poręczy znajdziesz niewielki otwór. To tam ma spocząć berło.

Caitlin przyjrzała się uważniej i tym razem zauważyła mały otwór, wystarczająco szeroki, by pasował do średnicy berła. Podniosła je i powoli wsunęła na miejsce.

Berło opadło do samego końca, tak, że tylko jego główka wystawała nad poręczą.

Nagle usłyszała cichy szcęk.

Spojrzała w dół i ze zdumieniem zobaczyła, jak u podstawy głowy jednego z lwów otworzyła się skrytka. Wewnątrz zobaczyła mały, złoty pierścień. Sięgnęła po niego i wyjęła ze skrytki.

Podniosła do oczu i przyjrzała mu się.

– Pierścień przeznaczenia – powiedziała wampirzyca. – Przeznaczony wyłącznie tobie. To prezent od twego ojca.

Caitlin wpatrywała się weń ze zdumieniem. Podniosła do światła i oglądała, jak w miarę obracania, kamienie iskrzyły się i błyszczały.

– Włóż go na palec serdeczny prawej dłoni.

Caitlin wsunęła pierścień na palec i kiedy poczuła chłód metalu, jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Wyczuła wydobywającą się z niego moc.

– Poprowadzi cię.

Caitlin popatrzyła na niego.

– Ale w jaki sposób? – spytała.

– Musisz tylko mu się przypatrzeć – powiedziała kobieta.

Caitlin była najpierw zdziwiona, lecz potem przyjrzała mu się z bliska. Wówczas zauważyła drobną, delikatną inskrypcję wygrawerowaną dookoła obręczy. Zaczęła ją czytać, a jej serce zabiło szybciej. Natychmiast wyczuła, że była to wiadomość od ojca.

Za Mostem, Za Niedźwiedziem,

Przy Wietrze, czy też Słońcu, ominiemy Londyn

Przeczytała zagadkę jeszcze raz, potem przeczytała ją na głos, aby i Caleb usłyszał.

– Co to oznacza? – spytała

Ich przewodniczka jedynie uśmiechnęła się.

– W tym miejscu muszę was pozostawić. Resztę podróży będziecie musieli odbyć sami. Po czym nachyliła się blisko.

– Liczymy na ciebie. Cokolwiek zrobisz, nie zawieź nas.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Caitlin i Caleb opuścili Opactwo Westminsterskie, wychodząc przez ogromne, zwieńczone łukiem drzwi na skąpany w słońcu poranek, z Ruth jak zwykle stającą tuż obok. Oboje instynktownie zmrużyli oczy i unieśli ręce, by zasłonić je przed światłem. Caitlin była wdzięczna Calebowi za krople, które jej zaoferował przed wyjściem. Kilka chwil zajęło, zanim oczy przyzwyczyły się do otoczenia. Stopniowo Londyn w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku nabrał kształtów.

Caitlin była zdumiona. Paryż w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym nie różnił się znacznie od Wenecji z tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego pierwszego. Londyn z tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku był zupełnie z innego świata. Była wstrząśnięta, jak dużą różnicę oznaczały te sto dziewięćdziesiąt lat.

Przed sobą miała Londyn w całej okazałości. Ale nie była to tętniąca życiem, wielkomiejska metropolia. Miała wrażenie, że było to raczej duże, sielskie miasto z wielkimi, pustymi jeszcze polaciami ziemi, na których wznoszono dopiero zabudowania. Nie było brukowanych ulic – wszędzie leżała goła ziemia – i mimo, że było wiele domów, drzew było tu znacznie więcej. Wśród drzew zaś widniały z grubsza rozplanowane rzędy domostw i budynków, większość z nich przeróżnej wielkości. Wszystkie domy zbudowano z drewna, a ich ogromne dachy pokryto słomianą strzechą. Już na pierwszy rzut oka dostrzegła, jak łatwo w tym mieście było zaproszyć ogień, zważywszy, że prawie wszystko było tu z drzewa, że na domach leżały sterty siana.

Zauważyła też natychmiast, że ziemia na drogach sprawiała niezłą trudność w poruszaniu się. Wyglądało na to, że najlepszym sposobem pokonywania dróg była jazda konno, bądź też podróż w powozie i Caitlin zauważyła, że rzeczywiście zdarzały się sporadyczne przypadki podróżujących w ten sposób osób. Ale był to raczej wyjątek. Większość ludzi poruszało się pieszo – a raczej brnęło. Wszyscy zdawali się walczyć o każdy krok na błotnistych ulicach, nie tracąc przy tym równowagi.

Dostrzegła też walające się na ulicach ekskrementy i uderzył ją odór, który docierał aż do miejsca, w którym stała. Bydło, które od czasu do czasu przechodziło obok, nijak nie poprawiało tej sytuacji. Jeśli kiedykolwiek rozważałaby podróż w czasie, jako coś romantycznego, widok ten z pewnością skłoniłby ją do zastanowienia.

Co więcej, nie widziała tu ludzi, którzy przechadzaliby się w najlepszych strojach, nosili parasolki, popisywali się najnowszą modą, jak to miało miejsce w Paryżu, czy Wenecji. Właściwie, wszyscy mieli na sobie proste okrycia, mocno przestarzałe. Mężczyźni ubrani byli w proste, rolnicze odzienie, przypominające w większości łachmany i tylko kilku miało na sobie białe bryczesy sięgające do ud i krótkie tuniki, które wyglądały jak spódnice. Za to kobiety skrywały się pod taką ilością materiału, że z trudem poruszały się po ulicach, trzymając w dłoniach rąbek sukni i podnosząc go wysoko, na ile tylko zdołały – nie tylko po to, by trzymać je z dala od błota i odchodów, ale również szczurów, które, ku przerażeniu Caitlin, wałęsały się całymi gromadami.

Jednakże, pomimo tego wszystkiego, rzeczywistość ta miała w sobie najwyraźniej coś wyjątkowego – a przynajmniej charakteryzowała się dużą swobodą. Caitlin odnosiła wrażenie, że znalazła się w wielkiej wsi. Brakowało tu miejskiego zamętu typowego dla dwudziestego pierwszego wieku. Nie było tu rozpędzonych samochodów; żadnych odgłosów dochodzących z placów budowy. Żadnych klaksonów, autobusów, ciężarówek, maszyn.. Nawet odgłosy koni były przytłumione, gdyż ich kopyta zapadały się w błocie. W rzeczy samej, jedyne słyszalne dźwięki, poza okrzykami sprzedawców, pochodziły od bijących bez przerwy kościelnych dzwonów, niczym chóralna kakofonia niosąca się przez całe miasto. Miasto było wyraźnie zdominowane przez liczne kościoły.

Jedyną rzeczą, która mogłaby być oznaką nadchodzącej rozbudowy miasta, były paradoksalnie owe antyczne kościoły – pnące się wysoko ponad resztę skromnej architektury i dominujące na widnokręgu dzięki ich wznoszącym się wysoko iglicom. W istocie, budynek, który właśnie

opuszczali, Opactwo Westminster, górował nad wszystkimi w zasięgu wzroku. Widać było, że jego wieża stanowiła punkt orientacyjny całego miasta.

Spojrzała na Caleba i zobaczyła, jak lustrował okolicę z równym jej zdumieniem. Wyciągnęła dłoń i z radością poczuła, jak objął ją swoją. Tak dobrze było móc poczuć jego dotyk ponownie.

Odwrocił się i spojrzał na nią. W jego wzroku dostrzegła miłość, którą ją darzył.

– Cóż – powiedział odchrząknawszy. – Nie jest to osiemnastowieczny Paryż.

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie, nie jest.

– Ale jesteśmy tu razem i tylko to się liczy – dodał.

Czuła jego miłość, kiedy spoglądał głęboko jej w oczy i przez chwilę odwróciła myśli od swej misji.

– Tak mi przykro z powodu tego, co stało się we Francji – powiedział. – Z Serą. Nigdy nie chciałem cię zranić. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Spojrzała na niego. Widać było, że mówił poważnie. I ku swemu zdziwieniu, łatwo mu to teraz wybaczyła. Dawna Caitlin chowałaby urazę. Lecz czuła się silniejsza, niż kiedykolwiek i naprawdę zdolna puścić to w niepamięć. Zwłaszcza po tym, jak do niej wrócił. Zwłaszcza dlatego, że najwidoczniej nie darzył Sery żadnym uczuciem.

A nawet więcej. Po raz pierwszy uświadomiła sobie własne błędy z przeszłości, ferowanie wyroków bez zastanowienia, brak zaufania do niego, ograniczanie go.

– Ja również przepraszam – powiedziała. – Zaczynamy nowe życie. Razem. Tylko to się liczy. Ścisnął jej dłoń, a ona w tym samym momencie poczuła, jak przeszył ją dreszcz.

Nachylił się i pocałował ją. Była zdziwiona, ale również uradowana. Czuła przeszywający ją prąd i odwzajemniła się równie gorącym pocałunkiem.

Ruth zaczęła skomleć u ich stóp.

Oderwali się od siebie, spojrzeli w dół i roześmiali się.

– Jest głodna – powiedział Caleb.

– Ja również.

– Sprawdźmy w Londynie? – spytał z uśmiechem. – Możemy polecieć – dodał – jeśli oczywiście jesteś na to gotowa.

Wygięła ramiona i poczuła znajdujące się za nimi skrzydła, poczuła się naprawdę gotowa. Czuła też, że doszła już do siebie po podróży w czasie. Być może, w końcu, zaczynała przyzwyczajać się do tego.

– Jestem – powiedziała – ale wolałabym iść piechotą. Chcę doświadczyć pierwszego wrażenia, jakie to miejsce sprawia na każdym nowo przybyłym.

I będzie to również romantyczne, pomyślała sobie, ale nie wymówiła tych słów na głos.

On jednak spojrzał na nią i się uśmiechnął. Przyszło jej do głowy, że może odczytał jej myśli.

Wyciągnął dłoń, którą ona chwyciła, i oboje ruszyli w dół po schodach.

*

Kiedy opuścili kościół, Caitlin zauważyła w oddali rzekę oraz szeroką drogę około pięćdziesiąt jardów dalej, ze znakiem noszącym z grubsza wyrytą nazwę ulicy King Street. Stanęli przed wyborem, skrócić w lewo, czy w prawo. Po lewej miasto wydawało się bardziej zagęszczone.

Skęcili w lewo, kierując się na północ ulicą King Street, biegnącą równolegle do rzeki. Caitlin była zdumiona widokami i dźwiękami, które otaczały ich ze wszystkich stron. Po prawej stały rzędy wspaniałych, drewnianych domów, wspaniałych posiadłości zbudowanych na modłę rezydencji Tudorów, z białym otynkowaniem na zewnątrz, brązowym obramowaniem i zwieńczonych krytym strzechą dachem. Po lewej zobaczyła ze zdumieniem wiejskie parcele ziemskie, na których widniały sporadyczne, niewielkie, skromne domki, oraz owce i krowy znaczące cały krajobraz.

Caitlin uważała, że Londyn w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku był po prostu fascynujący. Jedna strona ulicy była kosmopolityczna i zamożna, podczas gdy drugą zamieszkiwali nadal rolnicy.

Sama ulica również miała w sobie coś zdumiewającego. Ich stopy z każdym krokiem niemal wchodziły w ziemię, którą spulchniał dodatkowo cały ruch przechodniów i koni. To można było jeszcze znieść, jednak z ziemią zmieszane były różnego rodzaju odchody pozostawione przez watahy dzikich psów lub wyrzucone przez ludzi z okien. I rzeczywiście, w miarę jak szli dalej, mogli zauważyć otwierane co jakiś czas okiennice, w których pojawiały się kubły, a za nimi kobiety pozbywające się w ten sposób domowych nieczystości. Smród był o wiele większy niż w Wenecji, Florencji, czy Paryżu. Caitlin zaczęła się krztusić i żałować, że nie miała przy sobie jednej z tych małych perfumowanych sakiewek, którą mogłaby zasłonić teraz nos. Na szczęście, miała na stopach praktyczne obuwie bitewne, które podarował jej Aiden jeszcze w Wersalu. Nie potrafiła wyobrazić sobie chodzenia po tych ulicach w szpilkach.

Mimo to, wśród całej tej dziwacznej mieszaniny uprawnych pól i okazałych posiadłości zdarzały się też cuda architektury. Caitlin ze zdumieniem zauważyła niektóre budowle znane jej z ilustracji z dwudziestego pierwszego wieku – bogato zdobione kościoły. Trafił się również i pałac.

Droga skończyła się nagle wielką sklepioną bramą, przy której stało na baczność kilku ubranych w mundury strażników z halabardami. Brama była jednak otwarta, więc przeszli przez nią.

Napis wyryty w kamieniu obwieścił nazwę miejsca – Pałac Whitehall. Ruszyli dalej wydłużonym, wąskim dziedzińcem, potem przez kolejną, zwieńczoną łukiem bramę i wyszli z powrotem na główną ulicę. Wkrótce dotarli do kolistego skrzyżowania, przy którym widniał znak z napisem Charing Cross oraz wielkim, pionowym pomnikiem po środku. Droga rozwidlała się na lewo i prawo.

– Którędy? – spytała.

Caleb wyglądał na równie przytłoczonego, co ona. Wreszcie powiedział: – Instynkt podpowiada mi, by trzymać się blisko rzeki i odbić w prawo.

Zamknęła oczy i spróbowała również to wyczuć.

– Zgadza się – powiedziała, a potem dodała – Masz w ogóle jakiś pomysł, czego szukamy?

Potrząsnął głową.

– Równie dobrze mógłbym zgadywać za ciebie.

Spojrzała w dół na pierścień i przeczytała zagadkę ponownie.

Za Mostem, Za Niedźwiedziem,

Przy Wietrze, czy też Słońcu, ominiemy Londyn

Nic a nic jej to nie mówiło, i nie wyglądało również na to, żeby Caleb cokolwiek z tym kojarzył.

– Cóż, jest tu coś o Londynie – powiedziała – więc wydaje mi się, że jesteśmy na dobrej drodze. Instynkt podpowiada mi, że musimy iść dalej, zapuścić się głębiej w miasto, i że będziemy wiedzieć, kiedy już to zobaczymy.

Zgodził się z nią. Chwyliła jego dłoń i ruszyli w prawo, idąc równolegle z rzeką, zgodnie ze znakiem wskazującym drogę do Strande.

W miarę, jak szli coraz dalej, Caitlin zauważyła, że miasto robiło się bardziej zwarte, więcej budynków stało bliżej siebie po obu stronach ulicy. Mieli wrażenie, jakby zbliżali się do centrum miasta. Na ulicach pojawiły się też gęste tłumy ludzi. Pogoda była idealna – Caitlin miała wrażenie, że była wczesna jesień, a słońce świeciło dość mocno. Przez chwilę zastanawiała się, który to mógł być miesiąc. Ze zdziwieniem stwierdziła, jak łatwo straciła poczucie czasu.

Przynajmniej nie było zbyt gorąco. Jednak im więcej pojawiało się ludzi na ulicach, tym większego doznawała uczucia klaustrofobii. Zdecydowanie zbliżali się do centrum ogromnej aglomeracji miejskiej, nawet mimo tego, że brakowało typowej, nowoczesnej wytworności. Była zaskoczona: zawsze wyobrażała sobie, że w dawnych czasach żyło mniej ludzi i nie było tak dużych tłumów. Jeśli już, to było wręcz przeciwnie: z każdą chwilą ulice wypełniał coraz większy tłum, w co Caitlin ledwie mogła uwierzyć. Przypominało jej to Nowy Jork w dwudziestym pierwszym wieku. Ludzie przepychali się łokciami i nawet nie raczyli odwrócić się i przeprosić. I do tego cuchnęli.

Scenę tę dopełniali uliczni handlarze stojący na każdym rogu i brutalnie oferujący swe wyroby. Ludzie wykrzykiwali na wszystkie strony w różnych, dziwacznych akcentach brytyjskich.

A kiedy głosy handlarzy w końcu ucichły, inne wypełniły otaczające ich powietrze. Należące do niezliczonych kaznodziejów. Caitlin dostrzegła wszędzie prowizoryczne podwyższenia, podia, mównice i ambony, z których kaznodzieje wygłaszali swoje kazania w stronę tłumów, krzycząc, by być lepiej słyszaniymi.

– Jezus mówi ŻAŁUJ ZA GRZECHY! – wrzasnął jeden duchowny ze śmiesznym cylindrem na głowie i surową miną twarzy, spoglądając w dół na tłum powłóczytym wzrokiem. – Powiadam, WSZYSTKIE TEATRY muszą zostać zamknięte! Wszelkie nieróbstwo ZAKAZANE! Powróćcie do swych domów modlitwy!

Caitlin przypomnieli się ludzie wygłaszający kazania u zbiegu ulic Nowego Jorku. Pod niektórymi względami nic się nie zmieniło.

Doszli do kolejnej bramy, stojącej na samym środku ulicy, na której wisiał znak z napisem Temple Barre, Brama Miejska. Caitlin była zdumiona, że miasta posiadały jakieś bramy. Wielka, robiąca wrażenie brama była otwarta dla przechodniów. Caitlin przyszło do głowy pytanie, czy zamykali ją na noc. Po obu jej stronach stały straże.

Brama ta różniła się jednak od pozostałych. Wyglądało na to, że było to również miejsce zgromadzeń. Wokół cisnęły się wielkie tłumy ludzi, a wysoko w górze, na niewielkiej płaszczyźnie stał strażnik z batem w dłoni. Caitlin spojrzała tam i ze zdziwieniem zauważyła skutego łańcuchami i ledwie odzianego mężczyznę, przywiązanego do pręgierza. Strażnik wziął zamach i chłostał go raz po raz, a cała gawiedź, widząc to, wydawała okrzyki zachwyty.

Caitlin zlustrowała twarze ludzi i nie mogła uwierzyć w wyzierającą z nich obojętność, jakby zdarzało się to codziennie, jakby było popularną formą rozrywki. Czuła, jak na widok barbarzyństwa zebranych wzbierał w niej gniew. Szturchnęła Caleba. Jego również pochłoneła ta scena. Chwyciła jego dłoń i pospiesznie minęła bramę, zmuszając się do odwrócenia wzroku. Obawiała się, że jeśli nadal będzie się nad tym rozwodzić, to straci panowanie nad sobą i zaatakuje strażników.

– Barbarzyństwo – powiedziała, kiedy znaleźli się z dala od tego ponurego widoku, a odgłosy uderzeń bata ucichły nieco.

– Okropne – zgodził się z nią Caleb.

Idąc dalej, Caitlin próbowała pozbyć się z głowy tego obrazu. Siłą woli skoncentrowała się na czymś innym. Spojrzała w górę na uliczny znak i zauważyła, że nazwa ulicy, po której szli zmieniła się na Fleet Street. Z każdym ich krokiem tłumy rosły jeszcze bardziej, robiło się coraz ciaśniej, a budynki i drewniane domy stały jeszcze bliżej jeden obok drugiego. Na tej ulicy widniały również sklepy. Jedna tabliczka głosiła: Golenie za pensa. Przed innym kołysała się tabliczka kowala z podkową zwisającą z przodu. Jeszcze inny napis wyryty wielkimi literami oznajmiał: Siodła.

– Może nową podkową, panienko? – zapytał miejscowy sklepikarz, kiedy przechodzili obok.

Zbił ją z tropu.

– Hm, nie, dziękuję – odparła.

– Może ty, panie – nalegał mężczyzna. – Może golenie? Mam najczystsze brzytwy na całej ulicy.

Caleb uśmiechnął się do mężczyzny

– Dziękuję, nie trzeba.

Caitlin spojrzała na Caleba i zdała sobie sprawę, że cały czas wyglądał na świeżo ogolonego. Jego twarz była bardzo gładka. Wyglądała jak porcelana.

Idąc dalej ulicą Fleet Street, Caitlin nie mogła nie zauważyć, że tłum uległ zmianie. Zrobiło się bardziej obskurnie, kilka osób otwarcie piło z flaszek, zataczając się, śmiejąc za głośno i jawnie łypiąc okiem na kobiety.

– DŻIN SPRZEDAJE! DŻIN! – wrzeszczał jakiś chłopiec, zaledwie dziesięcioletek, trzymając skrzynkę niewielkich, zielonych butelek z dżinem. – KUPUJCIE! PÓŁ PENSA! KUPUJCIE!

Caitlin znowu ktoś popchnął, a tłum jeszcze bardziej zgęstniał. Obejrzała się i zauważyła grupkę kobiet z nadmiernym makijażem, ubrane w grube, ważące z tonę suknie, wydekoltowane tak nisko, że widać była niemal całe piersi.

– Chcesz się zabawić? – wrzasnęła jedna z nich, najwyraźniej podpita, chwiejąc się na nogach. Podeszła do przechodnia, który odepchnął ją brutalnie.

Caitlin była zdumiona grubiaństwem w tej części miasta. Poczuła, jak Caleb instynktownie przysunął się do niej i objął ręką w pasie, okazując w ten sposób swoją opiekuńczość. Przyspieszyli kroku i przeciskali się przez tłum, Caitlin natomiast spuściła wzrok, by sprawdzić, czy Ruth nadal za nimi nadążała.

Wkrótce ulica skończyła się i ujrzeli przed sobą niewielką kładkę, a kiedy weszli na nią, Caitlin spojrzała w dół. Zobaczyła wielki znak z napisem Fleet Ditch i zdumiała się na widok tego, co znajdowało się poniżej. Był to niewielki kanał, szeroki może na dziesięć stóp, całkowicie wypełniony mętną wodą. Na jej powierzchni kołysały się najróżniejsze śmieci i odpady. Podniosła wzrok i zobaczyła ludzi oddających do kanału mocz, innych wrzucających tam zawartość nocników, kości kurcząt, domowe odpady i wszelkiego rodzaju paskudztwo. Wyglądało to jak jeden potężny, płynący ściek, niosący ze sobą wszystkie miejskie odpadki.

Popatrzyła, dokąd prowadził i w oddali zobaczyła, że wpadał do rzeki. Smród sprawił, że odwróciła głowę. Była to prawdopodobnie najohydniejsza rzecz, jaką przyszło jej wcałować w całym życiu. Nad powierzchnią unosiły się toksyczne opary, dzięki czemu okropny, uliczny odór był niczym różą w porównaniu z tym tutaj.

Szybko pokonali mostek.

Kiedy dotarli na drugą stronę, Caitlin z ulgą stwierdziła, że wreszcie było tu szerzej i mniej tłoczno. Smród również osłabł, a po feterze z kanału, codzienne uliczne zapachy już jej nie przeszkadzały. Uświadomiła sobie, że właśnie w ten sposób ludzie żyli szczęśliwie w takich warunkach: trzeba było przyzwyczaić się tylko, zważywszy na czasy, w których przyszło żyć.

Z każdym krokiem, okolica stawała się miłsza oku. Po lewej stronie minęli ogromny kościół, na którego kamiennym gmachu widniały wyryte starannym, kaligraficznym pismem słowa: Świętego Pawła. Była to masywna świątynia z przepiękną, zdobioną fasadą sięgającą wysoko do samego nieba, górującą nad wszystkim wkoło. Caitlin nie mogła wyjść z podziwu dla piękna architektury tej budowli, która idealnie wpasowałaby się nawet w dwudziesty pierwszy wiek. Wydawała się taka nieprzystająca, górując nad całą drewnianą architekturą wokół. Caitlin zaczynała dostrzegać jak bardzo kościoły zawładnęły krajobrazem tych czasów i jak ważne były dla ludzi w nich żyjących. Były dosłownie wszechobecne. A dźwięk donośnych dzwonów rozbrzmiewał przez cały czas.

Caitlin przystanęła i zaczęła przyglądać się wiekowej architekturze. Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że, być może, we wnętrzu kościoła czekała na nich jakaś wskazówka.

– Zastanawiam się, czy nie wejść? – spytał Caleb, odczytując jej myśli.

Ponownie przyjrzała się inskrypcji na pierścieniu.

Za Mostem, Za Niedźwiedziem.

– Jest mowa o jakimś moście – powiedziała, namysławiając się.

– Właśnie jeden przeszliśmy – odparł Caleb.

Caitlin potrząsnęła głową. Coś jej nie pasowało.

– To była zaledwie kładka. Instynkt podpowiada mi, że to nie tutaj. Gdziekolwiek musimy się udać, mam przeczucie, że to nie tu.

Stojąc w miejscu, Caleb przymknął oczy. W końcu je otworzył.

– Ja również nic nie czuję. Ruszajmy dalej.

– Podejdźmy bliżej do rzeki – powiedziała Caitlin. – Jeśli mamy znaleźć jakiś most, to zakładam, że będzie w pobliżu rzeki. I z chęcią zaczerpnę trochę świeżego powietrza.

Zauważyła boczną uliczkę wiodącą na nadbrzeże oraz jej lichy oznakowaną nazwę: St. Andrews Hill. Chwyciła dłoń Caleba i poszli w tę stronę.

Zeszli po lekko nachylonej drodze i Caitlin zauważyła w oddali tętniącą ruchem wodnym rzekę.

To musi być słynna londyńska Tamiza, pomyślała. Z pewnością. Przynajmniej tyle zapamiętała z zajęć z podstaw geografii.

Ulica kończyła się budynkiem i nie zaprowadziła ich bezpośrednio na brzeg, więc skręcili w lewo, w uliczkę, która biegła w jej pobliżu, równoległe do niej, tylko pięćdziesiąt stóp dalej, a nosiła imię rzeki.

Thames Street była nawet wytworna, całkowicie odmienna od Fleet Street. Domy były tutaj ładniejsze, a po ich prawej stronie, wzdłuż nabrzeża widniały wspaniałe posesje z ogromnymi połaciami ziemi ciągnącej się w dół, do rzeki. Również zabudowa była tu bardziej wyszukana i wytworna. Najwyraźniej, ta część miasta zarezerwowana była dla bogatych.

Okolice była osobliwa i urocza. Pokonali wiele wijących się uliczek o śmiesznych nazwach typu Windgoose Lane, Old Swan Lane, Garlick Hill, czy Bread Street Hill. W gruncie rzeczy, zapach jedzenia unosił się wszędzie w powietrzu. Caitlin poczuła, jak zaburczało jej w brzuchu. Ruth również zaskowyczała. Caitlin wiedziała, że i ona była głodna. Lecz nigdzie nie widziała żywności na sprzedaż.

– Wiem, Ruth – współczuła jej Caitlin. – Wkrótce znajdę dla nas jedzenie, przysięgam.

Szli dalej. Caitlin nie wiedziała za dobrze, czego szukała. Caleb również. Wciąż mieli wrażenie, że zagadka mogła zaprowadzić ich gdziekolwiek i nie mieli żadnych tropów. Zagłębiali się coraz bardziej w serce miasta, a ona nadal nie była pewna, w którą stronę podążać.

W chwili, kiedy zaczynała czuć zmęczenie, głód i chęć pomarudzenia, dotarli do ogromnego skrzyżowania. Podniosła wzrok. Prosty, drewniany znak oznajmił im nazwę ulicy: Grace Church Street. W powietrzu unosił się ciężki zapach ryb.

Przystanąła ze złością i odwróciła się twarzą do Caleba.

– Nawet nie wiemy, czego szukamy – powiedziała. – Jest tam coś o moście, lecz żadnego nie widziałam. Może marnujemy tylko czas? Może powinniśmy podejść do tego inaczej?

Nagle Caleb klepnął ją po ramieniu i wskazał coś palcem.

Odwróciła się powoli. Była zszokowana tym, co zobaczyła.

Ulica Grace Church prowadziła ku wielkiemu mostowi, jednemu z największych, jakie widziała. W jej sercu odżyła nadzieja. Wielki znak mówił: London Bridge. Jej serce zabiło mocniej. Ulica była tu szersza, niczym główna arteria. Ludzie, konie, powozy i wszelkiego rodzaju transport wlewał się na most i z mostu.

Jeśli rzeczywiście mieli poszukać mostu, to najwyraźniej go znaleźli.

*

Caleb chwycił jej dłoń i poprowadził w kierunku mostu, wtapiając się w uliczny ruch. Podniosła wzrok. Widok sprawił na niej ogromne wrażenie. Nigdy jeszcze nie widziała podobnego mostu. Wejście wieńczyła ogromna, sklepiona brama ze strażnikami stojącymi po jej obu stronach. Na szczycie widniały niezliczone piki z zatkniętymi na nich głowami i krwią ciekącą z ich gardeł. Widok ten był makabryczny i Caitlin odwróciła wzrok.

– Pamiętam to – powiedział Caleb. – Setki lat temu. Właśnie w taki sposób zawsze ozdabiali swoje mosty: głowami więźniów. To ostrzeżenie dla złoczyńców.

– To przerażające – powiedziała Caitlin i schyliła głowę, po czym szybko weszli na most.

U jego podstawy stały stragany, w których kupcy sprzedawali ryby. Caitlin obejrzała się i zauważyła przybijające do brzegu łodzie i ludzi taszczących ryby po błotnistym dnie, ślizgających się raz po raz. Wejście na most cuchnęło rybami tak bardzo, że musiała zatkać nos. Na niewielkich, prowizorycznych stolikach leżały różne gatunki ryb. Niektóre wciąż się ruszały.

– Pagrus, trzy pensy za funta! – ktoś wrzasnął.

Caitlin wyminęła go szybko, starając się uciec przed zapachem.

Idąc dalej, Caitlin i Caleb zdumieli się powtórnie, jako że most był pełen sklepów. Niewielkie kramy sprzedawców zastawiały most po obu stronach, a między nimi przeciskał się cały ruch, żywy inwentarz, konie i powozy. Panował jeden wielki tłok i chaos, w którym co rusz rozlegały się okrzyki ludzi sprzedających swe wyroby.

– Skóry wyprawiamy! – ktoś krzyknął.

– Obedrzemy twoje zwierzę ze skóry! – krzyknął ktoś inny.

– Świece woskowe! Najprzedniejszy wosk!

– Kryjemy dachy!

– Drewno na opał!

– Świeże pióra! Pióra i pergamin!

Idąc dalej, natknęli się na bardziej atrakcyjne sklepy. Niektóre z nich sprzedawały wyroby jubilerskie. Caitlin przyszedł na myśl złoty most we Florencji, chwile spędzone z Blakiem i bransoletka, którą jej kupił.

Na chwilę poddała się emocjom, osunęła na bok, przytrzymała barierki i wyjrzała poza most. Pomyślała o tych wszystkich chwilach, które już przeżyła, wszystkich miejscach, w których już była i poczuła się przytłoczona. Czy to wszystko rzeczywiście się wydarzyło? Jak jedna osoba mogła przeżyć to wszystko? A może wkrótce miała się przebudzić z powrotem w swoim mieszkaniu w Nowym Jorku i pomyśleć, że to wszystko było jedynie najdłuższym i najbardziej zwariowanym snem w jej życiu?

– W porządku? – zapytał Caleb i podszedł bliżej. – Co się stało?

Caitlin szybko otarła łzę. Uszczypnęła się i zorientowała, że nie śniła. Wszystko to było prawdziwe. I właśnie to było najbardziej szokujące.

– Nic – odparła szybko, przybrawszy wymuszony uśmiech na twarzy. Miała nadzieję, że nie zdołał odczytać jej myśli.

Caleb stanął przy niej i razem z nią zaczął rozglądać się po Tamizie. Była szeroka i zatłoczona. Po jej wodach pływały pospołu łodzie żaglowe, wiosłowe, rybackie i różnego typu statki. Wodny trakt tętnił życiem, a Caitlin nie mogła wyjść z podziwu dla rozmiarów tych wszystkich pływających jednostek i żagli, które czasami pięły się na dziesiątki stóp w górę. Podziwiała ciszę panującą nad wodą pomimo tak wielu łodzi. Żadnych odgłosów silnika, żadnych motorówek. Jedyne odgłos łopoczących na wietrze żagli, które pozwoliły jej się zrelaksować. Docierające tu dzięki nieustającej bryzie powietrze było równie świeże, pozbawione nareszcie wszelkich zapachów.

Odwróciła się do Caleba i ruszyli razem dalej przez most, z Ruth u boku. Ruth znowu zawyla. Caitlin wyczuwała, że wilczyca była głodna. Chciała się gdzieś zatrzymać, jednak nigdzie, gdzie zajrzała, nie było żadnego jedzenia. Jej samej zaczął doskwierać głód.

Kiedy dotarli na środek mostu, Caitlin znów zaskoczył widok, który tam zastała. Nie sądziła, że cokolwiek jeszcze mogło ją zaskoczyć po tym, jak zobaczyła głowy na pikach – a jednak.

Wprost przed nimi, na środku mostu stał szafot, a na nim trzech więźniów z pętlami na szyjach, z zawiązanymi oczyma, lichy odzianymi. Jeszcze żyli. Za nimi stał kat w czarnym kapturze, z wyciętymi na oczy otworami.

– Następne wieszanie odbędzie się o pierwszej! – wykrzyczał. Gęsty tłum zaczął cisnąć się przy szafocie, najwyraźniej w oczekiwaniu na egzekucję.

– Co zrobili? – Caitlin zapytała kogoś z tłumu.

– Przylapali ich na kradzieży, panienko – powiedział, nie zadawszy sobie nawet trudu, by popatrzeć w jej stronę.

– Jednego złapali, jak szkalował królową! – dodała jakaś starsza kobieta.

Caleb poprowadził ją jak najdalej od tego makabrycznego widoku.

– Obserwowanie egzekucji zdaje się tu codzienną rozrywką – skomentował.

– To okrutne – powiedziała Caitlin. Dziwiła się, jak odmienną od współczesnej była ta społeczność, jak duża była jej tolerancja dla okrucieństwa i przemocy. A przecież to był Londyn, jedno z najbardziej cywilizowanych miejsc w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak wyglądało życie z dala od tego cywilizowanego miasta. Była zdumiona jak bardzo społeczeństwo i jego zasady ulegały zmianom.

W końcu pokonali most i kiedy stanęli u jego drugiego krańca, Caitlin odwróciła się do Caleba. Spojrzała na pierścień i ponownie przeczytała na głos:

Za Mostem, Za Niedźwiedziem,

Przy Wietrze, czy też Słońcu, ominiemy Londyn

– Cóż, postępując zgodnie z tym, właśnie stanęliśmy „za mostem.” Następny krok będzie „Za Niedźwiedziem.” Caitlin spojrzała na niego. – Co może oznaczać?

– Sam chciałbym wiedzieć – odparł.

Czuję, że ojciec jest gdzieś w pobliżu – powiedziała Caitlin.

Zamknęła oczy i siłą woli zmusiła wskazówkę, by się ujawniła.

I właśnie w tej chwili przebiegł koło nich jakiś chłopczyk z ogromną stertą broszur, krzycząc w niebogłose. – SZCZUCIE NIEDŹWIEDZIA! Pięć pensów! Tylko tutaj! SZCZUCIE NIEDŹWIEDZIA! Pięć pensów! Tylko tutaj!

Wyciągnął dłoń i wepchnął Caitlin ulotkę do rąk. Spojrzała w dół i zauważyła napisane ogromnymi literami słowa: „Szczucie Niedźwiedzia” oraz niewyszukaną ilustrację areny.

Spojrzała na Caleba, a on na nią, w tej samej chwili. Oboje zaczęli śledzić wzrokiem znikającego w oddali chłopca.

– Szczucie niedźwiedzia? – spytała Caitlin. – Co to takiego?

– Teraz to sobie przypominam – powiedział Caleb. – W tych czasach był to wielki sport. Wpuszczali niedźwiedzia na arenę, przywiązywali go do pala i szczuli na niego dzikie psy. Wówczas robili zakłady, kto wygra: niedźwiedź, czy też psy.

– To chore – powiedziała Caitlin.

– Zagadka – odparł. Za mostem, Za Niedźwiedziem. Myślisz, że o to w tym chodzi?

Jak na komendę odwrócili się i ruszyli za chłopcem, który był już już hen daleko, wciąż wykrzykując swe słowa.

U podnóża mostu skręcili w prawo i podążyli wzdłuż rzeki, tym razem po drugiej stronie Tamizy, idąc ulicą Clink Street. Caitlin zauważyła, że ta strona rzeki różniła się znacznie od tamtej. Była mniej zabudowana, mniej zaludniona. Domostwa były tu niższe, prostsze, a nabrzeże bardziej zaniedbane. Z pewnością było tu mniej sklepów i tłumy nie były tak liczne.

Wkrótce dotarli do ogromnej budowli, a widząc prety w oknach i rozstawione stráže, Caitlin domyśliła się, że było to więzienie.

Clink Street, pomyślała Caitlin. *Trafna nazwa.*

Budynek był ogromny i ciągnął się w dal. Mijając go, Caitlin zauważyła ręce i twarze wystające spod miedzy krat, śledzące każdy jej ruch. Setki więźniów cisnęły się tam, łypiąc na nią okiem i wykrzykując do niej ordynarne słowa.

Ruth warknęła, a Caleb przysunął się bliżej do niej.

Poszli dalej, mijając ulicę oznakowaną jako Dead Man's Place. Spojrzała na prawo i zobaczyła kolejny szafot i przygotowania do kolejnej egzekucji. Na podwyższeniu stał więzień, z pętlą na szyi i zawiązanymi oczyma. Trząsł się cały.

Caitlin tak bardzo była rozproszona, że niemal straciła chłopca z oczu. Caleb chwycił jej dłoń i poprowadził dalej ulicą Clink Street.

Idąc dalej, Caitlin nagle usłyszała odległy krzyk, a następnie ryk. Zauważyła, jak chłopiec skreślił za róg w oddali i usłyszała kolejny krzyk. Później poczuła ze zdumieniem, jak ziemia zatrzęsała się pod jej stopami. Nie czuła nic takiego od pobytu w Rzymskim Koloseum. Zdała sobie sprawę, że tuż za zakrętem musiało znajdować się coś w rodzaju ogromnej areny.

Kiedy wyszli zza rogu, Caitlin uderzył nowy widok. Była tam ogromna, okrągła budowla wyglądająca jak Koloseum. Była wysoka na kilka pięter i niedostępna dla spojrzeń z zewnątrz, jednak ze wszystkich stron prowadziły do środka sklepione drzwi. Usłyszała okrzyki, tym razem już głośniejsze i najwyraźniej dochodzące zza ścian budowli.

Przed budynkiem kłębiły się setki ludzi, podejrzanych typów, jakich Caitlin jeszcze nie widziała. Niektórzy byli ledwie ubrani, wielu z wystającymi ogromnymi brzuchami, nieogoleni i nieumyjni. Wśród nich wałęsały się dzikie psy. Ruth zaczęła warczeć i zjeżyła włosy na karku, najwyraźniej poruszona tym widokiem.

Sprzedawcy przepychali się ze swymi wózkami. Wielu z nich sprzedawało dżin. Sądząc po wyglądzie tłoczących się ludzi, wielu z nich korzystało z okazji. Przepychali się brutalnie na wszystkie strony, a większość wydawała się pijana. Podniósł się kolejny ryk. Caitlin podniosła wzrok i zauważyła wiszący nad areną napis: Szczucie Niedźwiedzi.

Poczuła odrazę. Czy ci ludzie naprawdę byli aż tak okrutni?

Niewielka arena zdawała się częścią większego kompleksu. W oddali widniała kolejna niewielka arena z ogromnym znakiem, na którym było napisane: „Szczucie byków.” I jeszcze dalej, na uboczu, znajdowała się kolejna ogromna, kolistą budowla – chociaż różniąca się od tamtych dwóch wyglądem. Miała klasę.

– Chodźcie zobaczyć nową sztukę Willa Shakespeare’a w nowym teatrze Globe Theater! – wrzasnął przechodzący obok chłopak. Podszedł ze stosem broszur wprost do Caitlin i wepchnął jedną w jej dłoń. Spojrzała na nią i przeczytała: „Nowa sztuka Williama Shakespeare: Tragedia Romeo i Julia”.

– Przyjdiesz, panienko? – zapytał chłopiec. – To jego nowa sztuka, i będzie grana po raz pierwszy w tym nowiułkim teatrze.

Caitlin spojrzała na broszurę i poczuła dreszczyk ekscytacji. Czy to było prawdziwe? Czy działało się naprawdę?

– Gdzie to? – spytała.

Chłopiec zachichotał. Odwrócił się i wskazał palcem. – Przecież właśnie tam, panienko.

Caitlin spojrzała we wskazanym kierunku i w oddali zobaczyła okrągłą budowlę z białymi stiukami i drewnianym wykończeniem w stylu Tudorów. Globe. Globe Shakespeare’a. To było niewiarygodne. Naprawdę tu była.

Wokół niego kłębiły się setki ludzi, nadchodzące ze wszystkich stron. A tłumy te wyglądały równie nieokrzesane, co te garnące się do szczucia niedźwiedzi i byków. Zaskoczyło ją to. Zawsze uważała, że bywalcy szekspirowskiego teatru byli bardziej ucywilizowani, bardziej wytworni. Nigdy tak naprawdę nie przyszło jej na myśl, że mogła to być rozrywka dla mas – i to najprymitywniejszych z nich. Wydawało się, że teatr stał w szrankach na równi ze szczuciem niedźwiedzi.

O tak, z chęcią obejrzałyby nową sztukę Shakespeare’a, z chęcią poszłyby do Globe. Jednakże, była zdecydowana najpierw wypełnić swoją misję, rozwikłać zagadkę.

Znad niedźwiedziej areny dobiegł kolejny ryk. Caitlin odwróciła się i ponownie skupiła na niej uwagę. Zastanawiała się, czy klucz do rozwiązania zagadki krył się za tymi ścianami.

Zwróciła się do Caleba.

– Jak myślisz? – spytała. – Powinniśmy sprawdzić, o co w tym chodzi?

Caleb wyglądał, jakby się wahał.

Zagadka rzeczywiście wspominała o moście – powiedział – i niedźwiedziu, lecz moje zmysły podpowiadają mi coś innego. Nie jestem do końca pewien—

Nagle Ruth warknęła i pognała gdzieś w bok.

– Ruth! – krzyknęła Caitlin.

Już jej nie było. Nie odwróciła się nawet, by posłuchać. Pobieгла, co sił w łapach.

Caitlin była w szoku. Nigdy nie widziała, żeby Ruth w ten sposób postąpiła, nawet w chwilach bezpośredniego zagrożenia. Co mogło aż tak przykuć jej uwagę? Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby Ruth jej nie posłuchała.

Caitlin i Caleb zerwali się do biegu w tej samej chwili.

Ale nawet z ich wampirzą prędkością, biegli za wolno, spowalniani przez grzaski piach. Ruth była znacznie szybsza. Widzieli, jak wykręcała i meandrowała w tłumie i musieli przepychać się, by nie stracić jej z oczu. Caitlin zauważyła, jak Ruth znikła w oddali za zakrętem i puściła się pędem w wąskiej alejce. Przyspieszyła jeszcze bardziej, wraz z Calebem, odpychając z drogi wielkiego człowieka i skręciła w tę samą alejkę.

Za czym u diabła tak goniła? zastanawiała się Caitlin. Przyszedł jej do głowy jakiś bezpański pies, albo też Ruth dotarła do apogeum swego głodu i puściła się w pogoń za jedzeniem. Była ostatecznie wilkiem. Caitlin musiała o tym pamiętać. Powinna postarać się o znalezienie dla niej pożywienia dużo wcześniej.

Kiedy jednak minęła róg i spojrzała w głąb uliczki, nagle uświadomiła sobie z szokiem, co to było.

W oddali, na końcu alejki, siedziała na ziemi mała dziewczynka, może ośmioletnia, struchlała, łkająca, trzęsąca się. Obok niej stał ogromny muskularny mężczyzna. Górował nad nią, pozbawiony koszuli, z wielkim sterczącym brzuszyskiem, nieogolony, z włosami pokrywającymi mu tors i ramiona. Patrząc gniewnie i pokazując braki w uzębieniu, smagał biedne dziecko po plecach skórzanym pasem.

– Oto, czego możesz się spodziewać za swoje nieposłuszeństwo! – krzyczał zjadliwie, co rusz unosząc pas.

Caitlin zmartwiała. Była gotowa rzucić się na niego.

Lecz uprzedziła ją Ruth. Miała nad nią dużą przewagę i kiedy mężczyzna wziął zamach, Ruth podbiegła i skoczyła w powietrze, rozdziawiając szeroko paszczę.

Runęła na przedramię człowieka i zatopiła w nim głęboko kły. Krew trysnęła na wszystkie strony, a mężczyzna wrzasnął nieludzko.

Ruth wpadła w szał i nic nie było w stanie jej ułagodzić. Warczała i potrzasała głową, wgryzając się coraz głębiej w ciało człowieka i nie puszczając.

Mężczyzna zaczął wymachiwać nią na lewo i prawo tylko dzięki swej słusznej posturze oraz temu, że Ruth nie była jeszcze w pełni wyrosniętym wilkiem. Warknęła. Odezwała się tak przerażającym głosem, że Caitlin włosy stanęły dęba.

Jednak mężczyzna ten najwyraźniej przywykł do przemocy. Zarzucił muskularnym ramieniem dokoła i zdołał uderzyć Ruth o ceglany mur. Potem zamachnął się pasem i zdzielił nim Ruth po karku.

Ruth pisnęła i zaskomlała. W końcu wypuściła rękę mężczyzny i opadła na ziemię.

Z wyrazem nienawiści w oczach mężczyzna zamachnął się obiema rękoma, gotowy uderzyć pasem ze wszystkich sił Ruth po głowie.

Caitlin ruszyła z miejsca. Zanim człowiek zdążył opuścić pas, skoczyła w powietrze z wyciągniętą prawą dłonią i chwyciła go za gardło. Uniosła go w górę wysoko, wyżej od siebie, i popchnęła w tył, aż wałnął o mur i go ukruszył.

Przytrzymała go tak zwisającego przed nią, z siniejącą twarzą. Była znacznie od niego mniejsza, lecz nie miał żadnej szansy w jej stalowym uścisku.

W końcu pozwoliła mu osunąć się w dół. Sięgnął po pas, a wówczas Caitlin odchyliła się i kopnęła go mocno w twarz, łamiąc mu nos.

Potem odchyliła się znowu i kopnęła go w tors z taką siłą, że poleciał kilkanaście stóp w tył. Uderzył w mur na tyle silnie, że zostawił po sobie wklęsły ślad w ceglach i w końcu osunął się na ziemię, wyglądając jak nieboskie stworzenie.

Lecz Caitlin wciąż czuła krążący w jej żyłach gniew. Pomyślała o niewinnej dziewczynce, o Ruth. Od dawna już nie czuła takiej furii. Nie potrafiła nad sobą zapanować. Podeszła do niego, wyrwała pas z jego dłoni, wzięła zamach i uderzyła go mocno w ogromny brzuch.

Mężczyzna szarpnął się i złapał za brzuch.

Kiedy usiadł, kopnęła go wprost w twarz. Trafiła w podbródek. Jej uderzenie cisnęło nim do tyłu, aż uderzył tyłem głowy o ziemię. Wreszcie stracił przytomność.

Caitlin nadal jednak nie była zadowolona. Nie łatwo przychodziło jej wzniecić w sobie taką furie, ale kiedy już do tego doszło, nie potrafiła się uspokoić.

Podeszła, położyła mu stopę na gardle i już była gotowa zabić go na miejscu.

– Caitlin! – odezwał się ostry głos.

Odwrociła się i z wciąż pulsującym w niej gniewem zauważyła stojącego za sobą Caleba. Powoli potrząsnął głową i spojrzał na nią z reprimendą we wzroku.

– Już dość go sponiewierałaś. Zostaw go.

Coś w głosie Caleba dotarło do jej umysłu.

Niechętnie uniosła stopę.

Zauważyła w oddali ogromną balię wypełnioną ściekami. Zauważyła też tłustą, ciemną maź przelewającą się przez jej brzegi i poczuła idący od niej smród.

Idealnie.

Schyliła się, podrzuciła mężczyznę w górę, mimo, że z pewnością ważył grubo ponad trzysta funtów, i przeszła z nim przez alejkę. Wrzuciła go do kadzi głową w dół.

Wylądował z pluskiem. Zobaczyła jak utknął po szyję w odchodach. Z przyjemnością pomyślała o chwili, kiedy mężczyzna w końcu się obudzi i zda sobie sprawę, gdzie się znalazł. W końcu była usatysfakcjonowana.

I dobrze, pomyślała. To właśnie jest twoje miejsce.

Natychmiast przyszła jej na myśl Ruth. Podbiegła do niej i obejrzała ślad pozostawiony na jej karku przez pas; wilczyca kulila się i powoli wracała do siebie. Caleb również podszedł i przyjrzał się jej uważnie. Ruth położyła głowę na kolanach Caitlin i zaskomlała. Ta pocałowała ją w czoło.

Nagle Ruth otrząsnęła się, wyrwała z ich objęć i pobiegła przez alejkę w stronę dziewczynki.

Caitlin obróciła się na pięcie. Nagle przypomniała sobie i również podbiegła do niej.

Ruth zbliżyła się i zaczęła lizać ją po twarzy. Jej język rozproszył uwagę dziewczynki na tyle, że powoli jej histeryczne łkanie minęło. Siedząc na ziemi, w zabrudzonej sukience, ze śladami po uderzeniach pasa na plecach, z których zaczęła sączyć się krew, dziewczynka spojrzała ze zdziwieniem na Ruth.

W miarę, jak Ruth lizała ją raz po raz, dziewczynka otworzyła szeroko oczy. W końcu wyciągnęła dłoń i powoli, z wahaniem pogłaskała Ruth. Potem objęła ją i przytuliła do siebie. Ruth odwzajemniła się, przysuwając jeszcze bliżej do dziewczynki.

Zadziwiające, pomyślała Caitlin. Ruth wyczuła tę dziewczynkę z odległości kilku skrzyżowań. Wyglądało to tak, jakby obydwie znały się od wieków.

Caitlin podeszła i uklękła przy dziewczynce. Podparła ją ręką i pomogła usiąść.

– W porządku? – spytała.

Zszokowana dziewczynka spojrzała na nią, potem na Caleba. Zamrugwała powiekami kilkakrotnie, jakby zastanawiając się, kim są ci ludzie.

W końcu, powoli, skinęła głową potakująco. Miała szeroko otwarte oczy i wyglądała na zbyt przerażoną, by cokolwiek powiedzieć.

Caitlin sięgnęła dłonią i delikatnie szesała zmierzwione włosy z jej twarzy. – Już dobrze – powiedziała. – Już nigdy więcej cię nie skrzywdzi.

Dziewczynka przybrała minę, jakby zaraz znów miała zacząć płakać.

– Jestem Caitlin – powiedziała. – A to Caleb.

Dziewczynka spojrzała na nich wciąż bez słowa.

– Jak masz na imię? – spytała Caitlin.

Po kilku sekundach dziewczynka odparła:

– Scarlet.

Caitlin uśmiechnęła się.

– Scarlet – powtórzyła. – Jakie piękne imię. A gdzie są twoi rodzice?

Potrząsnęła głową.

– Nie mam żadnych. A on jest moim opiekunem. Nienawidzę go. Codziennie mnie bije. Bez powodu. Nienawidzę go. Proszę, nie każcie mi wracać do niego. Nie mam nikogo innego.

Caitlin odwróciła się w stronę Caleba i zobaczyła, że oboje pomyśleli to samo w tej samej chwili.

– Jesteś już bezpieczna – powiedziała Caitlin. – Nie musisz już niczym się martwić. Możesz iść z nami.

Oczy Scarlet rozwarły się szeroko ze zdziwienia i zachwytu. Niemal się uśmiechnęła.

– Naprawdę? – spytała.

Caitlin uśmiechnęła się do niej, wyciągnęła dłoń i Scarlet chwyciła ją, korzystając z pomocy, by stanąć na nogach. Caitlin zauważyła rany na jej plecach. Wciąż broczyły krwią. Poczula, jak gdzieś głęboko odezwała się i zawładnęła nią moc. Przypomniła sobie nauki Aideny, słowa o mocy jednoczącej cały świat i poczuła głęboko w sobie moc, której jeszcze nie знаła. Od zawsze miała w sobie moc, którą wywoływał gniew, jednak czegoś takiego jeszcze nigdy nie doświadczyła. Ta moc była odmienna, nowa, rozchodziła się mrowieniem od stóp, przez całe ciało, ręce, aż po koniuszki palców.

Była to moc uzdrawiania.

Caitlin przymknęła oczy i delikatnie położyła dłonie na plecach Scarlet, tam, gdzie były ślady uderzeń. Zaczęła oddychać głęboko, wzywać moc całego świata, wiedzę przekazaną jej przez Aidenę i wysłała ku dziewczynce białe światło. Poczula, jak jej ręce stały się bardzo gorące, jak niewiarygodna energia zaczęła krążyć w całym jej ciele.

Nie była pewna, ile minęło czasu do chwili, kiedy znów otworzyła oczy. Podniosła wzrok i zobaczyła gapiącą się na nią Scarlet z oczyma szeroko otwartymi ze zdziwienia. Caleb wpatrywał się w nią, równie zdumiony.

Caitlin spuściła wzrok i zauważyła, że rany na plecach Scarlet całkowicie się zagoiły.

– Jesteś czarodziejką? – spytała Scarlet.

Caitlin uśmiechnęła się szeroko.

– Coś w tym rodzaju.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Sam szybował nad angielską ziemią wraz z Polly, która trzymała się jednak w pewnej odległości od niego. Ich skrzydła były w pełni rozpięte, ale daleko im było do siebie, jako że każde chciało zachować dystans. Samowi to odpowiadało i zakładał, że jej również. Lubił Polly. Naprawdę ją lubił. Lecz po niepowodzeniu z Kendrą, nie był gotowy zbliżyć się do kogokolwiek odmiennej płci jeszcze przez długi czas. Musiało minąć trochę czasu, zanim byłby w stanie zaufać komuś ponownie. Nawet komuś tak bliskiemu jego siostrze, jak zdawałoby się Polly.

Lecieli już od kilku godzin i kiedy Sam spojrzął w dół, w świetle porannego słońca ujrzał bezkresne połacie pól uprawnych, sporadycznie poprządkanych niewielkimi domkami, z których kominów ulatywał dym nawet w tak piękny, jesienny dzień. Zauważył pojedyncze osoby na podwórzu domostw, zajęte pracą przy odzieży, rozwieszające pranie na sznurach. Samych domów nie było jednak zbyt wiele. Cały ten krajobraz był na wskroś wiejski, tak bardzo, że Sam zaczął się zastanawiać, czy w ogóle istniały jakieś miasta w tych czasach – kiedykolwiek i gdziekolwiek byli.

Nie miał pojęcia, dokąd się kierować, a i Polly nie była zbyt pomocna. Oboje użyli swych wampirzych zmysłów, by dostroić się do rzeczywistości, wykorzystać swoje bliskie relacje z Caitlin, by wyczuć gdzie mogłaby być. Intuicja podpowiadała im ogólnie, w jakim kierunku powinni się udać i lecieli tam już od kilku godzin. Od tego czasu jednak nie natrafili na żadną wskazówkę, żaden bezpośredni trop. Instynkt podpowiadał Samowi, że Caitlin była w jakimś dużym mieście. Lecz przez setki mil nie minęli po drodze nic, co choćby odrobinę przypominało miasto.

Kiedy zaczynał zastanawiać się, czy wybrali dobry kierunek, skrzydła i widok, który odkryli nagle całkowicie ich zaskoczył. W oddali, na horyzoncie rozpościerało się miasto. Nie potrafił go rozpoznać i nie był pewien, czy w ogóle będzie w stanie je rozpoznać, nawet z bliska. Jego wiedza geograficzna była raczej skromna, tym bardziej historyczna. Powodem tego były zbyt częste przeprowadzki, złe towarzystwo i brak uwagi na zajęciach szkolnych. Był trójkowym uczniem, choć wiedział, że stać go było na więcej. Zważywszy jednak na wychowanie, nie widział powodu, by zaczęło mu zależeć. I teraz tego pożałował.

– To Londyn! – zawołała Polly z zachwytem i zaskoczeniem. – O mój Boże! Londyn! Nie wierzę! Jesteśmy w Londynie! Naprawdę! Co za niezwykle miejsce! – zawołała z podekscytowaniem w głosie.

Dzięki Bogu za Polly, pomyślał Sam i poczuł się głupi, jak nigdy. Zdał sobie sprawę, że wiele mógł się od niej nauczyć.

Kiedy podlecieli bliżej i ich oczom ukazały się budynki, Sam nie mógł wyjść z podziwu dla piękna architektury. Nawet z tak dużej odległości dostrzegał kościelne iglice pnące się do nieba, szpicujące całe miasto niczym rząd kopii. Kiedy zbliżyli się jeszcze bardziej, Sam zauważył, jakie były wytworne i wspaniałe – i zdumiał się, ponieważ wyglądały bardzo staro i szacownie. Poza nimi cała reszta zabudowań była niewspółmiernie mała.

Kiedy ogarnął to wszystko wzrokiem, wyczuł z całą pewnością, że Caitlin tu była. Myśl ta uradowała go i podekscytowała.

– Tam jest Caitlin! – zawołał. – Czuję to.

Polly uśmiechnęła się

. – Ja również! – krzyknęła.

Po raz pierwszy, od kiedy wylądował w tym miejscu i w tych czasach Sam wreszcie poczuł się pewniej, odniósł silne wrażenie, że oto znał już kierunek i cel. W końcu uznał, że był na dobrej drodze.

Spróbował wyczuć, czy groziło jej jakieś niebezpieczeństwo. Choć bardzo się starał, nic z tego nie wynikło. Pomyślał o chwili, kiedy widział ją po raz ostatni, w Paryżu, zanim uciekła z Notre Dame. Była z tym facetem – Calebem – i zastanawiał się, czy nadal byli ze sobą. Spotkał Caleba raz

czy dwa, ale to wystarczyło, żeby go bardzo polubił. Miał nadzieję, że Caitlin wciąż z nim była, i że Caleb troszczył się o nią. Miał dobre przeczucie co do ich związku.

Polly zanurkowała nagle nisko, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, podlatując do dachów. Albo nie obchodziło jej, czy Sam za nią poleci, albo założyła, że tak zrobi. Zdenerwowała go tym. Wolałby, żeby go uprzedzała lub przynajmniej okazywała mu szacunek, sygnalizując w jakiś sposób, co zamierzała zrobić. A mimo to, jakąś częścią swego serca czuł, że jej na nim zależało. Może tylko zgrywała taką trudną do zdobycia?

I dlaczego niby miałyby to jemu sprawiać jakąś różnicę? Czy nie wmówił sobie przed chwilą, że jak na razie nie interesowały go żadne dziewczyny?

Zanurkował nisko i wyrównał do jej wysokości. Lecieli zaledwie kilka stóp nad miastem. Postarał się zboczyć nieco w lewo, tak, żeby lecieli w jeszcze większej odległości od siebie. *Co ty na to?* pomyślał.

Kiedy zbliżyli się do centrum miasta, Sam doznał wstrząsu. Zarówno te czasy, jak i miejsca były bardzo odmienne, tak różne od wszystkiego, co do tej pory widział, czy doświadczył. Był blisko dachów. Miał wrażenie, że mógł po prostu sięgnąć dłonią i ich dotknąć. Większość budynków była niska, miała najwyżej kilka pięter i pochyłe dachy pokryte czymś, co wyglądało na wielkie sterty siana czy słomy. Większość budynków pomalowano na jaskrawy, biały kolor z brązowymi obwódkami. Kościoły – ogromne, z marmuru, bądź też wapieni – wyrastały z tego krajobrazu, dominując nad całymi dzielnicami. Tu i ówdzie widniały też jakieś inne budowle, które wyglądały jak pałace. Zgadywał, że prawdopodobnie były to rezydencje rodziny królewskiej.

Miasto rozdzielała szeroka rzeka, nad którą właśnie przelatywali. Rzeka tętniła życiem – poruszały się po niej różnego typu i rozmiaru łodzie. Obejrawszy się na ulice, Sam zauważył, że i tam było gwarno. Nie mógł uwierzyć, jak bardzo były zatłoczone. Ludzie byli dosłownie wszędzie i przemykali pospiesznie tu i tam. Nie potrafił nawet wyobrazić sobie, za czym tak ganił. Przecież nie mieli internetu, ani e-maili, faksu, czy choćby telefonów.

Mimo to, niektóre części miasta wydawały się stosunkowo spokojne. Nieutwardzone drogi, rzeka i te wszystkie łodzie sprawiały wrażenie sielankowości. Nie było tu samochodów, autobusów, klaksonów, ciężarówek, czy też odgłosów przyspieszających motocykli. Panowała względna cisza.

Do chwili, kiedy nagle podniósł się ryk.

Sam odwrócił głowę. Polly zrobiła to samo.

W oddali po prawej stronie zobaczyli wielką arenę, zbudowaną na planie idealnego okręgu i pnącą się wzwyż na kilka pięter. Przypominała rzymskie Koloseum, aczkolwiek była znacznie mniejsza.

Mając widok niczym z lotu ptaka, Sam zauważył na środku areny jakieś duże zwierzę, które biegało dookoła, a wokół niego biegało mnóstwo innych mniejszych zwierząt. Nie potrafił pojąć tego, co miał przed oczyma, lecz na trybunach zauważył setki ludzi. Wszyscy stali, wiwatowali i wyli.

Nagle poczuł mrowienie na ciele. I to nie z powodu tego, co widział, ale dlatego, że nagle wyczuł dojmującą obecność Caitlin. Tam, w tym miejscu.

– Moja siostra! – krzyknął do Polly. – Ona tam jest – powiedział, wskazując kierunek. – Wyczuwam ją.

Polly spojrzała w dół i zmarszczyła brwi.

– Nie byłabym tego taka pewna – powiedziała. – Nic nie czuję.

Odwróciła głowę w inną stronę i wskazała na most wyłaniający się znad horyzontu.

– Ja wyczuwam ją w tamtym miejscu.

Sam spojrzał w tym kierunku i zobaczył ogromny most spinający brzegi rzeki. Był zaskoczony, kiedy ujrzał na nim stoiska wszelakiego rodzaju, a jeszcze bardziej, kiedy zobaczył kilku więźniów stojących na szafocie, z pętlami na szyjach i kapturem na głowach. Wyglądało na to, że za chwilę mieli zostać straceni. Wokół nich zbierał się ogromny tłum.

– W porządku – powiedział i nagle zanurkował nisko, wprost w kierunku mostu. Pomyślał, że ją uprzedzi i jako pierwszy zniży teraz lot.

Wylądował na moście, nie odwróciwszy się nawet, i po chwili wyczuł lądującą kilka stóp za nim Polly. Wyrównała z Samem i razem ruszyli, tuż obok siebie, a jednak zachowując dystans, nie patrząc jedno na drugie. Był dumny z tego, że utrzymywał ich znajomość na neutralnym gruncie. Nie było mowy o choćby pozornej bliskości, czego akurat oboje pragnęli.

Widok na moście zdumiał Sama bez reszty. Był przytłaczający, a potęgowała go jeszcze mnogość bodźców ze wszystkich stron.

– Wygarbować dla ciebie skórę, synu? – spytał go jakiś mężczyzna i podsunął pod nos kawałek niewyprawionej skóry. Jego oddech cuchnął i Sam czmychnął mu z drogi.

– A teraz dokąd? – spytał Polly.

Zlustrowała most, szukając wszędzie Caitlin. Sam postąpił podobnie. Lecz nigdzie nie było jej widać.

Polly wzruszyła w końcu ramionami.

– Nie wiem – odparła. – Wyczuwałam ją tu wcześniej, ale teraz... nie jestem pewna.

Sam odwrócił się i spojrzał w dal na horyzont, z powrotem w stronę areny.

– Wyczułem ją tam wcześniej – powiedział. – Na tej arenie, nad którą przelecieliśmy.

– W porządku – powiedziała Polly. – Chodźmy tam. Ale na piechotę – w razie, gdyby jednak była na moście.

Idąc przez most, przeciskając się przez wszystkich sprzedawców, Polly widocznie się rozchmurzyła i odzyskała swój dawny rezon.

– Spójrz na ubrania tych ludzi! – powiedziała. – Na to, co mają na sobie. Zdumiewające, nieprawdaz? Sądzę, że spaliłabym się ze wstydu, nosząc coś takiego, ale dostrzegam w tym praktyczność. Zastanawiam się, jak ta moda wchodzi w życie. Znaczący, jak zmienia się z pokolenia na pokolenie? Wariactwo, nieprawdaz? Zastanawiałam się, jakie kolory bym nosiła, gdyby przyszło mi żyć w tych czasach, gdybym była jedną z tych ludzi...

Sam westchnął. Polly znów zaczęła swoją tyradę i wiedział, że nic nie było w stanie jej teraz powstrzymać. Zignorował ją w duchu.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.